Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 10 zł

WIEŚ

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok IV | Łódź, 15 czerwca 1947 r. | Nr 24 (103)

Julian Rataj

ANALIZA DOCHODU SPOŁECZNEGO

1. GDZIE TONIE DOCHÓD SPOŁECZNY?

Nasze obecne życie gospodarcze przebiega pod wpływem trzech najbardziej zasadniczych warunków, w stosunku do których wszystkie inne zjawiska pozostają jedynie w charakterze pochodnych, wtórnych zjawisk nacechowanych oddziaływaniem tych pierwszych. Są to: zmiany ustrojowe, terytorialne oraz zniszczenia materialne spowodowane długoletnią okupacją i wojną których rozmiar charakteryzuje istotnie na kilka najbliższych lat nasz proces gospodarczy, jako etap odbudowy. Ostrość i ogrom tego ostatniego zjawiska natury materialnej łagodzi dobroczynny wpływ dwóch pierwszych, a więc zarówno nowych demokratycznych podstaw ustroju gospodarczo-społecznego, jak również wzrost naszych zasobów materialnych i potencjału produkcyjnego, jaki wniosły do wiana gospodarki narodowej Ziemie Odzyskane.

Gdybyśmy w tym najtrudniejszym historycznie — bo nieporównalnym z żadnym poprzednim — okresie leczenia ran gospodarczych (nie tylko zresztą gospodarczych, bo ludnościowych, kulturalnych itp.), a właściwie gruntownej odbudowy całego prawie korpusu gospodarczego kraju, nie mieli do swej dyspozycji podstawowych korzyści ogólnych płynących z przebudowy naszego ustroju oraz z przyłączenia nowych ziem, to odczuwalibyśmy daleko ostrzej ciężar czasów powojennych. Dla tych, którzy pamiętają długotrwały i uciążliwy okres powrotu naszego kraju do normalnego życia po pierwszej wojnie światowej — jakże niewinnej w porównaniu z ostatnią — jest widoczne bez żadnych cyfr statystycznych, że tempo teraźniejszej odbudowy gospodarczej jest znacznie szybsze, a wyniki tego procesu są oczywiste dla każdego nieuprzedzonego. Po dwóch zaledwie latach niepodległego bytu państwowego zbliżamy się do przedwojennego poziomu produkcji, a w niektórych gałęziach (i to podstawowych, jak węgiel, energia elektryczna) przekroczyliśmy już ten poziom. Jest to sukces i dorobek olbrzymi dokonany wysiłkiem i ofiarnością całego świata pracy w Polsce.

Wydawałoby się według wszelkich prawideł prostego, zdrowego jak i uczonego rozsądku, że tak znaczny wzrost produkcji i masy towarowej idącej na rynek, winien być w swej dobroczynnej pełni odczuty przez tenże świat pracy, za którego sprawą zaistniał. I oto jesteśmy świadkami faktu, że rozwijająca się produkcja, wzrost wydajności pracy, podniesione w ślad za tym płace — to wszystko nie przyczyniło się w sposób istotny, zwłaszcza w ostatnich miesiącach, do polepszenia warunków bytu mas pracujących. Zjawisko to spowodował fakt nieuporządkowania jeszcze jednej dziedziny życia gospodarczego, a mianowicie wymiany towarowej. Tu właśnie umiejscowił się drapieżny element spekulacji, rasowy czynnik kapitalistyczny, korzystając z ustępstwa ustrojowego, jakie demokratyczna gospodarka planowa uczyniła na rzecz inicjatywy prywatnej. Kapitalizm wygnany bez reszty z podstawowego ośrodka dyspozycji ustrojowej, jakim jest obecny, państwowy sektor, wyzuty z „naturalnych“ praw do posiadania środków produkcji i finansów, ześrodkował całą swą zachłanność na ostatniej możliwości, jaka pozostała, choć ograniczona i niedecydująca ustrojowo, na odcinku drogi, jaką towar przebywa od produkcji do konsumenta.

2. DEZORGANIZACJA WYMIANY — OSTATNIĄ SZANSĄ KAPITALIZMU

W ustroju kapitalistycznym, gdzie posiadanie i dyspozycja środków produkcji i finansów znajduje się w rękach kapitalistów i zrzeszeń kapitalistycznych, dziedzina wymiany była tą, w której narodziła się **spółdzielczość** i w której osiągnęła ona swój główny życiowy sukces. Właśnie spółdzielczość wyrosła w ustroju kapitalistycznym, będąc bronią ubogich ludzi pracy i z natury rzeczy pozbawiona znaczniejszych środków, zmuszona była rozpocząć od najbardziej dostępnej dziedziny wymiany w ambitnej i nierównej walce o sprawiedliwy ustrój społeczny. I jak wierzyli niektórzy naiwni ideologowie, kooperatyzm miał wywalczyć upragniony porządek społeczny drogą opanowania handlu i spożycia.

Dopóki spółdzielczość ograniczała się do samej dziedziny wymiany i niektórych gałęzi wytwórczości spożywczej, dopóty niedosiężny i niedotknięty kapitalizm nie interweniował, ale zawsze wtedy, gdy zamiary organizatorów i kierowników spółdzielczych kierowały się w stronę środków produkcji, wkraczał czuły w tym punkcie świat kapitalistyczny, gdyż to groziło nadwyrężeniem jego istoty. O ile w tamtym świecie spółdzielczość uzdrawiała stosunki panujące w handlu, służąc rzetelnie interesom zrzeszonych spożywców i drobnych wytwórców, hartując czystość swych metod, to dziś u nas po dokonaniu przebudowy społecznej, odcinek wspomniany opanowała w dużej mierze spekulacyjna inicjatywa prywatna, ta jej niezdrowa część, która dąży do wprowadzenia chaosu, korzystając z istniejącego stanu rzeczy, w którym spółdzielczość nie potrafiła jeszcze zaważyć pozytywnie na rynku wymiany towarowej.

Nigdy jeszcze prywatna przedsiębiorczość handlowa (i nie tylko handlowa) nie zażywała u nas takiej prosperity, nie czerpała z obrotu towarowego tak nadmiernych dochodów, jak obecnie. Na tym odcinku obnażył się w całej pełni stary, bo towarzyszący kapitalizmowi od zarania, istotny jego rys, niepohamowane dążenie do osiągnięcia jak największych zysków, dążenie wzmagające się w miarę osiągania coraz większych zysków. Wyszedł na jaw niedobity „homo economicus“, a właściwie homunculus, tępy i ograniczony, nierozumiejący i nie chcący rozumieć podstawowych wymogów solidarności wysiłku okresu odbudowy, ale sprytny w zakątku swoich interesów. Drożyzna towarowa, spekulacyjna gra na zwyżkę cen, przerzucająca się z towaru na towar, (a więc przez to samo przecząca podnoszonym pogłoskom o rzekomej inflacji, która obejmuje wszystkie rodzaje towarów), to jest właśnie dzieło grup spekulantów, tak licznych w stosunku do całości społeczeństwa, jak nieliczne były przedtem grupy kapitalistów — przedsiębiorców przemysłowych i bankierów. I jak poprzednio kapitalizm rządzący działał dezorganizująco na rynek produkcji, zatrudnienia i płac z dyspozycyjnego ośrodka produkcji, tak dzisiaj zepchnięty do roli podrzędnej przez dezorganizację handlu i cen, podcina opłacalność produkcji rolniczej i pozbawia rzesze robotnicze owoców ich pracy, obniżając wartość realną ich płac. Zmieniły się możliwości generalne, ustrojowe. Metody i cele pozostały te same.

3. USTAWY GOSPODARCZE

Oczywistą jest rzeczą, że uprawianie spekulacji nie odnosi się do całego sektora inicjatywy prywatnej, lecz do pewnej jego części. I właśnie przeciwko tej grupie spekulantów zwraca się ostrze ustaw przyjętych ostatnio przez Sejm, które zmierzają do unormowania stosunków w obrocie handlowym. Są to: **Ustawa o zwalczaniu drożyzny i nadmiernych zysków w obrocie handlowym** oraz **Ustawa o prowadzeniu przedsiębiostw handlowych i wykonywaniu czynności handlowych.** Dotychczasowa walka ze szkodnictwem gospodarczym nie miała do swej dyspozycji należytych środków działania. Obecnie wspomniana ustawa wyposaża instytucję Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami w ostre środki w postaci możności wymierzania surowych kar więzienia i wysokich kar pieniężnych oraz konfiskatę mienia. Druga ustawa stanowi czynnik dający podstawę do stworzenia należytej organizacji handlu i chroniący kupiectwo przed nieuczciwą konkurencją.

Ta grupa ustaw ma na celu skuteczną walkę z barbarzyństwem handlowym jak również dąży do stworzenia lepszych warunków dla solidnego kupiectwa, przez koncesjonowanie przedsiębiorstw handlowych, co pozwoli usunąć dziką konkurencję drożyzny ze strony czynników spekulacyjnych, zagrażających kupcom rzetelnie wykonywującym swoje czynności zawodowe.

Przyczyną drożyzny towarowej nie są u nas ceny producenta, zarówno rolnika jak i zakładu przemysłowego, lecz wysoka marża zarobkowa, pobierana przez pośredników spekulujących do tego stopnia, że częstokroć zysk pośrednika przenosi cenę towaru u producenta o 100% i więcej. W ten sposób dochodzi do absurdalnego stanu, że **koszt pośrednictwa przenosi koszt wyprodukowania towaru.** Rzecz jasna, że ten stan rzeczy powoduje akumulację dochodu społecznego w nadmiernej ilości u tych, którzy go nie wytwarzają, a zmniejsza sumę dochodu przypadającą przeciętnie na chłopa, robotnika, pracownika umysłowego. Cena, którą osiąga handel spekulujący przy sprzedaży produktów rolnych w mieście jest wyższa od ceny płaconej rolnikowi znacznie więcej, niż na to pozwalałaby dozwolona marża handlowa. Z drugiej strony towary przemysłowe idące na wieś są również przedmiotem spekulacji. W ten sposób dziedzina obrotu towarowego stała się siłą negatywną, zmieniającą podział dochodu społecznego na niekorzyść warstw ludowych: chłopów oraz licznych rzesz pracujących w zawodach pozarolniczych. I mimo rosnącej produkcji przemysłowej, rolniczej i usług mamy do czynienia ze zjawiskiem, że jednak wielkość produkcji jako zasadniczy czynnik, który decyduje o rozmiarach dochodu społecznego (i w warunkach sprawnie zorganizowanego obrotu decyduje i winien decydować w dużej mierze o podziale tego dochodu, a więc o podziale spożycia czyli o dobrobycie społeczeństwa), tej roli w zupełności nie spełniła, z powodu dezorganizacji wymiany, której funkcją społeczno-gospodarczą winna być realizacja wyników produkcji w drodze do konsumenta, a a w żadnym wypadku decydujący wpływ na dobrobyt mas.

4. BRAK DYSCYPLINY GOSPODARCZEJ

Nie tylko wysokie marże handlowe są przyczyną niezdrowych stosunków w naszym obrocie towarowym. Ważną rolę odgrywa również spekulacja towarowa na termin, która uprawia na szeroką skalę skup i ukrywanie towarów przeznaczonych na rynek. W ten sposób tworzą się w sumie ważne zapasy przetrzymywane na drodze od produkcji do konsumenta, który w ten sposób nie odczuwa dobrodziejstwa każdoczesnego wzrostu masy towarowej. Szkodliwość gospodarcza tego zjawiska jest tym większa, że w obecnym okresie niedostatku towarowego każda ilość towaru winna być natychmiast rzucona na rynek, który jest jeszcze daleki od nasycenia. Dezorganizację pogłębia również zjawisko słabej dyscypliny gospodarczej naszego społeczeństwa, które jest bardzo wrażliwe na wpływ pierwszej lepszej pogłoski szeptanej propagandy rozsiewającej od czasu do czasu nieprawdopodobne bzdury gospodarcze. W takich momentach umiejętnie wzbudzonego niepokoju nieraz ma miejsce masowe wykupywanie artykułów pierwszej potrzeby przez samych konsumentów, którzy w ten sposób sami sobie oddają niedźwiedzią przysługę, nabijając kieszenie czyhających na to spekulantów.

Do zjawisk łączących się z zagadnieniem dyscypliny gospodarczej, należy fakt omijania normalnego aparatu wymiany wzbudzającego zaufanie, omijanie spółdzielczości, co ma miejsce zwłaszcza przy zbycie produkcji rolnej na wsi. Sprzedaż komukolwiek bez posługiwania się odpowiednim aparatem obrotu towarowego jest jedną z ważnych przyczyn chaosu istniejącego w naszym handlu. I w tym względzie wspomniane ustawy stanowią trafnie przewidzianą podstawę do unormowania i usprawnienia wymiany wewnętrznej.

Gdy porównamy stopień zorganizowania i uporządkowania zasadniczych dziedzin naszej gospodarki narodowej, to okaże się, że produkcja górnicza i przemysłowa, finanse i komunikacja wyprzedzają daleko dziedzinę obrotu zewnętrznego, którego praktyki mogą być nieraz zaliczone do gatunku dzikich i antyspołecznych, bo nieprzebierających w środkach metod, ale też na tym właśnie odcinku zarówno spółdzielczość jak tymbardziej nacjonalizacja ustępuje swym zasięgiem bardzo wyraźnie inicjatywie prywatnej, której gorsza część — ta spekulująca — przyczynia nam dotąd tyle trudności gospodarczych, a której działalność jest obecnie ukrócana skutecznie na podstawie wspomnianych już ustaw.

5. KONCENTRACJA ZBYTU ROLNICZEGO

Należy odnowić pole działalności dla spółdzielni zarówno w mieście, jak zwłaszcza na wsi, która spośród wszystkich ośrodków produkcji narodowej stanowi nadal najsłabiej skoncentrowaną i nieujętą w formy organizacyjne dziedzinę produkcji. Nie tu jest miejsce na zajmowanie się stroną samej produkcji, lecz należy podkreślić specjalną rolę jaką winna odgrywać **spółdzielczość rolnicza** na odcinku wymiany łączącej wieś z miastem. Ta bowiem droga najeżona jest bardziej niż kiedykolwiek zawodowymi amatorami łatwych i nadmiernych zysków, których ofiarą pada chłop-producent, nie mogący w tym stanie rzeczy zainkasować pełnego rezultatu swej mozolnej pracy. Spółdzielnia jako instytucja stojąca najbliżej mas rolniczych, winna stać się masowym środkiem praktyki gospodarczej rolnictwa. Zwłaszcza spółdzielnie gminne, pracujące bezpośrednio w środowisku czysto wiejskim, są predystynowane do roli czynnika największej aktywizacji warstwy chłopskiej, te spółdzielnie winy być naturalnym terenem chłopskiej działalności gospodarczej, zarówno w zakresie przetwórstwa płodów rolnych jak i odnośnie obrotu płodami rolnymi oraz artykułami przemysłowymi na wsi. Wszelki zbyt produktów rolnych winien się odbywać przez chłopskie spółdzielnie rolnicze, które będą w stanie wyrugować dziki handel spekulacyjny. Tu jest wielkie pole działalności dla działaczy radykalnego ruchu ludowego, który ma — jak wiadomo—ogromne zasługi historyczne w krzewieniu ruchu spółdzielczego na wsi jeszcze w dawnym okresie przedwojennym; jest to ogromne zadanie organizacyjno-gospodarcze Związku Samopomocy Chłopskiej, który tak żywiołowo wystartował przed dwoma zaledwie laty z koncepcją uniwersalnej spółdzielni gminnej i ma już za sobą niemały dorobek w postaci uruchomionych 2000 takich spółdzielni.

Dopiero wówczas ustawodawstwo przeciw lichwie oraz jako ochrona rzetelnej organizacji handlu wyda pożądane owoce, skoro w sukurs pośpieszą same zainteresowane środowiska świata pracy: rzesze pracownicze miast oraz masy chłopów-producentów rolnych, które przez swoją własną organizację spółdzielczą uzdrowią chaotyczny rynek towarowy.

Państwo ludowe potrafi nie tylko ostro walczyć z negatywnymi gospodarczo zjawiskami, lecz w drodze rozumnej polityki gospodarczej daje możność negatywnym i szkodniczym dotąd elementom wykazywania się pozytywnym działaniem, które by pozostawało w harmonii z dziełem odbudowy kraju, jako naczelnym zadaniem narodowym doby dzisiejszej.

Dowodem tej przewidującej i planowo-dydaktycznej linii postępowania ze strony państwa ludowego jest dalsza **Ustawa o ulgach inwestycyjnych**, która w zakresie gospodarczym nawiązuje do tegorocznej ustawy amnestyjnej w stosunku do podziemia politycznego i stąd jest też nazywana **amnestią kapitałową**, obliczoną na ujawnienie zatajonych dotąd kapitałów prywatnych, stanowiących podziemie gospodarcze.

6. RZEKOMO „POKRZYWDZENI“

Znaną jest rzeczą, że najbardziej „niewytrzymałym“ z punktu widzenia psychologii

gospodarczej okazał się sektor prywatny, który najłatwiej ulega chwytom spekulantów, dając się płoszyć przy lada okazji wymagającej odrobiny opanowania; tam też ma miejsce pobłażliwość i daleko posunięta tolerancja w odniesieniu do zjawiska uprawiania drożyzny i lichwy. Stąd też wypływa fakt, że właśnie inicjatywa prywatna unika angażowania się w proces odbudowy kraju i inwestycji gospodarczych, a najchętniej lokuje swoje środki w dziedzinie obrotu towarowego, który przynosi najwyższe i najszybsze zyski.

W porównaniu z pionierską rolą odbudowy przemysłu, komunikacji, rolnictwa i spółdzielczości zwłaszcza rolnej, inicjatywa prywatna pozostaje w roli jakby rzekomo „pokrzywdzonej" i ciągle „zagrożonej" istoty, która jednak w istocie rzeczy ma się o wiele lepiej, niż inni współobywatele. W rezultacie, zwłaszcza w spekulującej części sektora prywatnego nagromadziła się znaczna część dochodu społecznego, wypracowanego wysiłkiem ludzi pracy, wskutek czego czynnik ten dysponuje wielką siłą nabywczą nieeksploatowaną i nie wciągniętą w konstruktywne procesy odbudowy gospodarczej kraju.

„Celem skierowania kapitałów prywatnych do wzięcia udziału w gospodarczej odbudowie kraju udziela się ulg inwestycyjnych...".

Oto proste i nieskomplikowane zdanie pierwszego artykułu ustawy, otwierającej szeroką bramę dla ruchu kapitałów prywatnych, zaproszenie do inwestycji i przedsięwzięć produktywnych dla całości gospodarki narodowej. Jest nadzieja, że tak realna szansa nie zostanie zmarnowana.

Do omawianej grupy ustawy mającej na celu uporządkowanie niezdrowych stosunków panujących w zakresie sektora prywatnego należą jeszcze dalsze ustawy, stanowiące jakby logiczne uzupełnienie pierwszych; wprowadzają one społeczną kontrolę przy wymiarze i ściąganiu podatków. Odnośne przepisy nie zawierają żadnych postanowień o zwiększaniu podatków już istniejących. Sens ich polega na uporządkowaniu dziedziny wpływów podatkowych przez zgodne z prawem obciążenie podatkami tych, którzy dotąd uchylali się od płacenia, względnie byli opodatkowani niewspółmiernie nisko w stosunku do swoich możliwości płatniczych.

Jest tu zawarty postulat sprawiedliwości obciążeń podatkowych, gdyż płacący podatki solidnie byli dotychczas w gorszym położeniu w stosunku do uchylających się i ukrywających dochody, którzy za aspołeczne zachowanie się mieli jakby premię w postaci nieuiszczonych sum podatkowych.

Nie jest to zatem akt wymierzony przeciwko solidnym i rzetelnym jednostkom gospodarczym, lecz przeciw spekulującej i uchylającej się od prawidłowego obciążenia części sektora prywatnego.

Postulat sprawiedliwości łączy się w tym punkcie z wymogami planowej gospodarki, która winna opierać się o sprawnie działający plan finansowy, który może liczyć na trafnie przewidziane realne wpływy.

W opisanych wyżej ustawach należy widzieć przezorne ubezpieczenie realizacji Narodowego Planu Odbudowy, który przynosi i przynosić będzie realne zdobycze dla całego społeczeństwa polskiego. Słuszną więc jest rzeczą, aby od tej wielkiej pracy nie były zwolnione żadne ośrodki gospodarcze.

W ten sposób wykonywany Narodowy Plan Gospodarczy w procesie realizacji uzyska potwierdzenie swej nazwy.

Julian Rataj

Andrzej Skupień - Florek

BIAŁY DUNAJEC

Od Redakcji

W Nr. 48 i 49 „Wsi" z roku 1946 drukowaliśmy szkic historyczny Andrzeja Skupień - Florka pt. „Biały Dunajec". Rozpoczynamy druk pełnej monografii wsi podhalańskiej na przestrzeni dwóch wieków. Autor pracy jest 4-morgowym gospodarzem parającym się piórem w chwilach wolnych od pracy gospodarskiej.

Korzystał z następujących źródeł:
1) Dokumenty archiwalne.
2) Materiały i zapiski Dr L. Wyrostka.
3) „Dzieje i ustrój Podhala Nowotarskiego" — prof. Józefa Rafacza.
4) Gminne akta i dokumenty znajdujące się w posiadaniu Wojciecha Stachowca z Białego Dunajca.
5) Ustne opowiadania i zapiski własne autora.

CHARAKTERYSTYKA WSI, CIĘŻARY WŁOŚCIAN W LATACH 1579 — 1769

Wieś Biały Dunajec, której pierwszym prawnym założycielem był Jędrzej Pawlik (co nastąpiło w 1579 roku), leży w jednej z kotlin doliny nowotarskiej, ciągnącej się na południe ku Tatrom wzdłuż rzeki o tej samej nazwie, dokładnie: pomiędzy Nowym Targiem, a Zakopanem i obecnie liczy 7 kilometrów długości. Graniczy ona: od południa z młodszą od siebie wsią Poroninem — od północy z o wiele starszą od siebie wsią Szaflary, z której wyszedł jej założyciel. Jednakże sąsiedztwo Szaflar jest oddzielone sporą przestrzenią ornych gruntów bez zabudowań.

Przestrzenne grunta Białodunajczan ciągną się od domostw wsi, pasami ról do wierchów na wschód i na zachód. Na wschodzie graniczą z gruntami wsi częściowo Leśnicy i Gliczarowa, a na zachodzie z Zubsuchem i Bańską.

W XV wieku były tu jeszcze lasy swobodnie rosnące, a ostatnią i najdalej wysuniętą ku Tatrom osadą ludzką była wieś Szaflary. Dopiero w drugiej połowie XVI wieku, w 1560 roku „ekspansywna" ludność wdziera się w te lasy, karczuje je, „wyprawia" sobie uprawne role pod zasiew owsa. Tu, właściwym ówcześnie sposobem i stylem, stawiają sobie mieszkania i budynki gospodarskie. Owo wdzieranie się ludności w te lasy i ich karczowanie odbywało się za ogólnym przyzwoleniem króla ówcześnie panującego w Polsce, nie tylko bowiem nowotarszczyzna, ale całe Podhale wraz z górami Tatrami było prywatną własnością królewską, którą dzierżawili od króla dziedzicznie i dożywotnio nowotarscy starostowie. W roku 1564, na mocy uchwały sejmowej (chodziło o uzyskanie środków na utworzenie stałego wojska „kwarcianego"), odbyła się pierwsza lustracja królewszczyzn w Polsce, i ta właśnie lustracja wymienia Biały Dunajec jako wieś nową, gdzie wówczas zastano tam osiadłych dopiero sześciu kmieci. Odkąd oni tutaj byli osiadli, i co to byli za jedni ci owi kmiecie, nie wiadomo poza jednym Jędrzejem Pawlikiem, gdyż ludności przybyłej niejako samopas nie rejestrowano; ludność, która tu szła i osadzała się, była darzona „wolnizną" i gdzie chciała, osiedlała się, zakładając nie raz pojedyńcze, a z czasem parorodzinne osady. Włościanin w czasach Polski przedrozbiorowej nie stanowił takiej wielkiej wartości jak obecnie, żeby go trzeba było od razu od urodzenia rejestrować i każdą zmianę miejsca pobytu do ksiąg wpisywać — w wojsku nie służył, podatków bezpośrednio nie płacił — a czynsze i inne powinności względem starosty, jakie czynione być musiały, obliczano z łanu i ról kmiecych. Obowiązek zebrania i dopilnowania wykonania robocizny dworowi ciążył na sołtysie, a ten znał swoich kmieci jako właścicieli ról, i innych poddanych siedzących na rolach kmiecych, którzy wedle posiadanego udziału ziemi danej roli zrzucali swoje grosze czynszu, i szli odrabiać „robociznę" dworowi jako swoją powinność. Z czasem dalsze lustracje notowały nazwiska ludzi, ale tylko kmieci, tj. właścicieli ról kmiecych. Szczegółowsze zapiski prowadziły urzędy parafialne, ale tych było na Podhalu bardzo mało. Nie wszyscy też włościanie śpieszyli do tych parafialnych urzędów, ale zdarzały się częste wypadki, że duchowni (a byli to przeważnie Cystersi), idąc za osadnikami hen ku Tatrom, uczyli kulturalnej uprawy roli i innego jeszcze rzemiosła z gospodarstwem związanego, a przytem pełnili posługi duchowe względem wiernych. Są wzmianki w kronikach parafialnych (o czym będzie osobno obszerniej mowa), że sporo rodzin tj. ojciec, matka i dzieci tychże przyjmowali sakrament Chrztu św. gromadnie, a ci sami rodzice bezpośrednio po Chrzcie przyjmowali sakrament małżeństwa.

Z tego możemy wnioskować, jak dokładnymi mogły być ówczesne ewidencje ludności, a zwłaszcza w Nowotarszczyźnie wysuniętej na południe.

Jako najstarszych i najwcześniej tu osiadłych włościan Białego Dunajca, poza Jędrzejem Pawlikiem, sołtysem wybranieckim, — o którym już wiedzą nie tylko starosta, ale i król, owe kroniki wymieniają już w roku 1614 następujących kmieci: Fortunkę, Jagodę, Ślimaka, Łysopała i Pańszczyka. Zaś w roku 1616 wymienia się dalsze cztery nazwiska: Bałasa, Guta, Skupnia i Pizdyka. W roku 1617 przybywa: Buzek i Świder. Następnie w 1618 r. Gil i Bochunek, w roku 1619 dochodzą: Bednarz, Dzierząga, Turlak, Floryn i Janica. Rok 1620: Sikoń i Wrzosk, a dalej, w roku 1621: Skowyra, Strachota, Szostak, Waniczak, Mikoś, Maciata, Jucha i Jacina. W roku 1635 Biały Dunajec liczy 63 rodziny, a w roku 1650 było już tych rodzin 119, czyli w ciągu lat 15 przybyło 56 rodzin. Rok 1700 zastaje w Białym Dunajcu 199 rodzin, co oznacza przybytek 80 rodzin, na przestrzeni lat 50. W okresie następnych lat 69, tj. do roku 1769 a więc do czasu zajęcia nowotarszczyzny przez Węgry, przybyło zaledwie 47 rodzin, tak że w roku 1769 Biały Dunajec liczył 246 rodzin. Były to rody, z małymi wyjątkami, jednorodzinne, każdy o innym nazwisku.

Wielkość dzisiejszego obszaru Białego Dunajca możemy zawdzięczać właśnie tym pierwszym rodzinom, które tu osiadły do roku 1635, wrębując się w las i „wyprawiając" sobie role dowolnie wszerz i wzdłuż, zakreślając niejako granice tej wioski; w okresie następnych lat następowało osadzanie dalszych następnych wiosek w górę ku Tatrom, jak Poronina, od wschodu Gliczarowa, od zachodu Zubsuchego Bańskiej.

Role, jakie wyrabiali sobie Białodunajczanie, nie łączyły się z sobą, biegnąc jedna obok drugiej (przynajmniej nie wszystkie), lecz powstawały dziko rozrzucone tu i tam, przeważnie na zboczach wzniesień, ze względu na suchszy teren ziemi, ponieważ dolina, przez którą przepływała rzeka, była mokra, a nawet bagnista. Owe role kmiece były odgradzane pasami rosnącego jeszcze lasu, który znowu ulegał karczowaniu przy następnym wyrobieniu dalszej roli, przez później przybyłych kmieci, których osadzał sołtys, czyniąc ich prawnymi właścicielami jak i pierwszych. A wszystkie powstałe role zostawały nazwane nazwiskiem swojego właściciela - kmiecia. Pierwotne nazwy niektórych ról przetrwały do dziś, a to dzięki temu, że rody pierwotnych ich właścicieli żyją, a z nimi zachowało się nazwisko pierwszego kmiecia.

Poza „łanem rolej" ziemi, będącej własnością wybranieckiego sołtysa, a zarazem i szlachcica Pawlikowskiego Wojciecha, miał Biały Dunajec ról kmiecych — 24, co stwierdza dokument z przeprowadzonej lustracji wsi starostwa nowotarskiego w roku 1767. Była to ostatnia lustracja królewszczyzn w Polsce przed jej rozbiorami. Wówczas role te były własnością następujących kmieci: 1. Szymon Gil — 1618 r.; 2) Bartłomiej Sikoń — 1620 r.; 3. Wojciech Buzek — 1617 r.; 4. Jakub Bafia — 1640 r.; 5. Jan Bałasik — 1616 r.; 6. Józef Jagoda — 1614 r.; 7. Marcin Fortunka — 1614 r.; 8. Jan Pańszczyk — 1614 r.; 9) Jędrysek Spólnik—1639 r.; 10. Józef Gut — 1616 r.; 11. Michał Janica — 1619 r.; 12. Wojciech Janica — 1634 r.; 13. Strączek z Pudlakiem — 1648 r.; 14. Sobestian Pańszczyków — 1640; 15. Szymon Gutt — 1640 r.; 16. Szymon Dzierząga — 1619 r.; 17. Łukasz Ślimak — 1614 r.; 18. Marcin Graca — 1631 r.; 19. Jakub Sieczka—1627; 20. Jan Maciata — 1621 r.; 21. Jan Skupień — 1616 r.; 22. Ostroś Strachota — 1621 r. 23. Stanisław Swidor — 1617 r.; 24. Świder z Tatarka — 1638 r. oraz łan sołtysa wybranieckiego Wojciecha Pawlikowskiego szlachcica — 1579. Liczby za nazwiskami wymienionych właścicieli ról, oznaczają rok, odkąd prawdopodobnie owe role istnieją; a porządek kolejny tychże ról podałem w tym układzie, jak one następują kolejno po sobie od strony Szaflar z tym, że łan sołtysi znajduje się pomiędzy 1-szą a 2-gą rolą Szymona Gila a Bartłomieja Sikonia.

Poza tymi kmiecymi rolami niektórzy właściciele mieli jeszcze gdzie indziej swoje własności gruntowe. I tak: kmieć Jan Skupień będąc właścicielem roli oznaczonej liczbą 21, miał pół zarębka Stołowe, wcześniej wyprawionego niżeli sama rola, a mając podrosłe dzieci rozsiedli się na dwoje tak że jedni pozostali na zarębku, a drudzy poszli wyprawić sobie role w dolinę wsi, gdzie osiedlili się — ten sam Jan Skupień był właścicielem hali Kopienice Małe i polany Olczysko w Tatrach oraz na samym Podtatrzu jednej drugiej zarębka Kulbasówki, który sobie zagospodarzyli na uprawną rolę częściowo, a częściowo mieli na wypas bydła.

Zaś Pańszczykowie, właściciele ról—liczba: 10 i 16, byli właścicielami jednej czwartej zarębka „Palenice" na Podtatrzu w górach, oraz jednej czwartej zarębka „Pańszczykówki" w Tatrach.

Kmiecie: Świder z Tatarką, właściciele jednej roli — liczba 24 — byli posiadaczami polany „Świderówka", znajdującej się przy półzarębku Stołowe w granicach wsi swojej. Zaś włościanin Furtak, jako chałupnik, posiadał jedną czwartą zarębka „Furtakówka" pod Tatrami.

Polanę Błociska położoną pod Tatrami obok Małego Cichego, posiadali Murzańscy sołtysi, krewni Pawlika, sołtysa wybranieckiego Białodunajeckiego. Jednej czwartej zarębka Gilówka właścicielami byli: Gil i Bafia, zaś całego jednego zarębka byli właścicielami: Cipka i Gil.

Dalsze inne przynależności Białodunajeckiego sołectwa w górach, jakie otrzymali wybraniecy sołtysi Pawlikowie od królów polskich: Michała Korybuta-Wiśniowieckiego i Jana III Sobieskiego, jak polanę Ciche z Tarasówką; góry wolne, lasy i hale pod mianem: „Jaworzyna", „Zgorzeliska" i Poroniec wzdłuż potoku zwanego Porońcem (obecnie „Cicha woda"), w skład którego wchodzą dzisiejsze: „Nosal", „Wysoka", „pod Kurtką", „Dudowa Pasieka", „Zadnia", „Wierch Poroniec", „Brzanówka", „Wiktorówka", oraz po drugiej stronie potoku na zachód położone hale zwane „Kopami" — sołtysi zachowali na wyłączną swoją własność użytkową i swojej rodziny. Do tych włościan wymienionych wyżej należała cała wieś w roku 1767 wraz z terenami położonymi w górach. Widzimy, że około 30 rodzin było prawnymi właścicielami jako kmiecie, a w tym i sołtys ze swoim „łanem rolej ziemi".

A czymże była ta reszta rodzin włościan poza wymienionymi, skoro Biały Dunajec w tym roku liczył rodzin razem z wymienionymi 246? — Otóż włościanie w owych czasach dzielili się na kategorie: zarębników czyli półrolników, jako druga kategoria po kmieciach trzecia kategoria to zagrodnicy, którzy siedzieli na zagrodach różnej wielkości; nosili też oni miano chałupników z tego powodu, że posiadali chałupę z niewielką ilością gruntu 1/4 — 1/8 zagrody. Czwarta kategoria to komornicy, którzy nie posiadali ani ról, ani zagród z chałupami, tylko zwyczajnie mieszkali w domach rolników - kmieci. Przeważnie byli to starzy kmiecie i ich żony kmiotki, którzy na swoje stare lata oddawali swoje gospodarstwa własnym dzieciom z wymówieniem dla siebie kąta w chałupie i parę stajań gruntu na swoje wyżywienie.

Tak też było i w Białym Dunajcu zwłaszcza w latach 1660 do 1767, w którym to czasie występowały wszystkie kategorie włościan, a więc: 1. kmiecie, 2. zarębnicy tzn. półrolnicy; 3. zagrodnicy czyli chałupnicy oraz 4. komornicy.

Jednakże w roku 1767 istniał w Białym Dunajcu tylko jeden zarębek, reszta bowiem zarębków przez dalsze wykarczowanie przylegającego do zarębka lasu, uzyskała wielkość roli i w ten sposób niektóre zarębki stały się rolami. Tak że po za 24-ma kmieciami, reszta rodzin, to chałupnicy i komornicy. Jedyny zarębek, jaki istniał w roku 1767, był własnością dwóch włościan, których lustracja wymienia, — nie wiadomo tylko czy obaj, czy jeden z nich, byli pół rolnikami. Ówczesna rola liczyła obszaru około 70—100 mórg ziemi, więc sądząc po dzisiejszemu możemy powiedzieć, że ówcześni gospodarze - chłopi mieli ziemi poddostatkiem, w stosunku do zaludnienia wsi liczącej 246 rodzin. A jednak życie ich nie było łatwe i mimo dostatku ziemi używanej ciężko było wyżyć, zważywszy jak duże ciężary spoczywały na nich.

CIĘŻARY KMIECI I INNYCH PODDANYCH.

Za prawo „posiadania" tych ról przez owych kmieci, tak w Białym Dunajcu jak i w całej królewszczyźnie oraz za ich używanie, musieli poddani ponosić najrozmaitsze ciężary i powinności względem dzierżawców Nowotarszczyzny — starosty i jego dworu, tak w mieście Nowym Targu, jak i we wsi Szaflary. Były to różne daniny, czynsze i robocizna, które w pewnych okresach czasu były większe lub mniejsze, zależnie od woli i chciwości każdego starosty.

A więc robocizna, jaką musiano wykonywać na folwarku Szaflarskim, początkowo wynosiła 12 dni do roku z roli, w tym 6 dni pieszych a 6 dni bydłem. Natomiast starosta Mikołaj Komorowski, który był prawdziwym ciemiężcą dla poddanych, wygórował ciężary robocizny, że wynosiła ona 3 dni tygodniowo z roli, a w jakiś czas wygórował on swoje żądania na 4 dni tygodniowo z roli robocizny rozłożonej na 3 dni bydłem, a czwarty pieszo, zaś w zimie 3 dni bydłem. Z biegiem czasu zostaje ciężar robocizny pomniejszony do 3 dni tygodniowo z roli — 2 dni bydłem i jeden pieszo, o czym wspominają dokumenty lustracyjne z roku 1660. Zaś lustracja z roku 1767 wykazuje na folwarku w Szaflarach robociznę wykonywaną z roli kmiecej 20 dni w roku — 10 dni bydłem i 10 dni pieszo. Następne ciężary kmieci, to dań dwoch korcy owsa z jednej roli kmiecej rocznie i dań dwóch kóp gontów, jednej lub dwu (zależnie od wielkości roli) desek oraz po jednym bierwionie; oddawanie rocznie 4 łokcie przędzy, a mniejsze role 3 łokcie 18 pasm i 10 nici z roli; następnie jako piąty rodzaj ciężaru, to danina jednej gęsi i dwu kur rocznie z roli. Bywali nawet tacy starostowie, którzy domagali się większej liczby sztuk ptactwa, co wywoływało wśród poddanych sprzeciwy i niepokoje. Szóste to płacenie czynszów z każdej roli rocznie począwszy od 30 złotych 24 groszy aż do 40 złotych 22 groszy i denarów zależnie od wielkości roli, a Szymon Gil ze swojej roli płacił nawet 45 złotych. Dla zorientowania się co do wartości pieniądza owczesnego złotego przyglądnijmy się również ówczesnym cenom owsa i wartości dniówkowej pracy: korzec owsa liczono 3 zł, łokieć przędzy 20 gr., dzień koszenia 15 gr., dzień grabienia 10 gr., jeden dzień orki 2 zł 20 gr., a bronowanie 1 zł 10 gr. Widzimy stąd, że 40 zł czynszu czy nawet 30 nie było wcale lekką powinnością, jakby się nam to wydawało. Oprócz tych ciężarów, już wymienionych powyżej, ciążył jeszcze na kmieciach obowiązek dowiezienia do dworu z lasów tatrzańskich 4 fur drzewa opałowego, 2 tramów, tzn. grubych kloców budulca do roku z jednej roli kmiecej.

Ciężarem, jaki musieli ponosić chałupnicy, była robocizna piesza i wynosiła dwa dni tygodniowo, gęsi i kur oddawali o połowę mniej niż kmiecie, a przędzy dawali 4 łokcie 4 pasma i 15 nici. Komornicy zaś odrabiali robociznę 6 dni w roku i przędli 2 łokcie przędzy z dworskiego lnu i na dworskiej strawie. A teraz ciężary właścicieli jednego zarębka i polan były następujące: Cipka — Gil ze zarębka odrabiają 6 dni pieszych i czynszu dają 22 zł rocznie, półzarębka „Stołowe" daje Jan Skupień 5 pasm nici i czynszu 30 zł, jedna druga zarębka polany „Kulbasówki" daje Jan Skupień 18 zł, hale „Kopienice Małe", „Polana Olczysko" Jan Skupień 34 zł; jedna czwarta zarębka polany „Furtakówka" czynszu daje Furtak 12 złotych, jedna czwarta polany „Gilówka" czynszu daje Gil i Bafia 22 zł; jedna czwarta polany „Polenice" dają Pańszczykowie 23 zł czynszu; jedna czwarta polany „Pańszczykówka" daje czynszu Mikołaj Pańszczyk 8 zł, z polany „Świderówka" czynszu dają Świder z Tatarką 10 zł, z polany Błociska Murzańscy sołtysi dają czynszu 52 zł.

Poza tymi ciężarami i powinnościami, ponoszonymi przez poszczególnych włościan indywidualnie, istniał ogólny ciężar na całej wsi jako roczny prowent ponoszony przez wszystkich zamieszkałych w Białym Dunajcu włościan. I tak, jako robocizna roczna: 72 dni orki, 72 dni bronowania, 75 dni kosić, 75 dni grabić, następnie roczny dowóz 47 szt. tramów 47 kóp gontów, 47 szt. bierwion jak dań i 44 szt. limbowych desek oraz 85 łokci przędzy, a nadto 48 korcy owsa. Poza tym na całej wsi ciążył obowiązek „podróży" tzn. wyjazdy ze zbożem dworskim w dalsze okolica Rzeczypospolitej oraz przywiezienie kamieni młyńskich do młynów skarbowych, których w Białym Dunajcu było dwa (skoro lustracja z roku 1767 wymieniając starościński młyn mówi: „dwa koła wodne i dwa kamienie mączne, które dzierżawi Stanisław Wyrwa dając czynszu 148 złotych").

Dalej wieś ma obowiązek dostarczenia do dworu w Nowym Targu trzech pachołków, tzn. sług rocznie oraz odstawienie okolkiem (kolejno) stróży do folwarku, a przed tym i do zamku w Szaflarach po 8 ludzi dziennie. Obowiązkiem stróży było stawić się jeszcze przed zachodem słońca we dworze, gdzie musieli obsłużyć bydło, a więc nakarmić, napoić i krowy wydoić i oczyścić, a potem nocą stróżować wokół dworu strzegąc od napadu zbójeckiego i rabunku. Rano ta sama praca około dobytku, a potem powrót do domów. Drugiego dnia o tej samej porze przychodzą nowi ludzie, wykonują te same czynności i tak w kółko. Stróżę pełniący musieli być ludźmi dorosłymi, nieletnich do stróży wcale nie przyjmowano. Stróża nie była przyjemnym obowiązkiem, gdyż rządcy dworu często za błache niedokładności odliczali po 20 kijów na północną stronę ciała, co powodowało skargi aż u króla.

(D. c. n.)



Przykład samorzutnej odbudowy wsi

Edward Ciborowski

Architektura wsi*)

W ostatnich tygodniach r. 1946 ukazała się w druku praca inż. arch. Stefana Tworkowskiego „Architektura wsi".

Sądząc z przedmowy — od autora — datowanej wiosną 1945 — praca ta wówczas została ukończona — a powstała — podczas okupacji niemieckiej.

Powstała więc w warunkach, gdy niesłychanie trudno było i o materiały źródłowe i dokumentacyjne i o atmosferę usposabiającą do spokojnych systematycznych rozważań.

Istotnie praca inż. Tworkowskiego jest dokumentem wagi pierwszorzędnej. Dokumentem niepokojów i zrywów tak charakterystycznych dla okresu okupacji i prac konspiracyjnych podczas okupacji niemieckiej prowadzonych.

Dokumentem również świadomej woli, by rzeczywistość pookupacyjną jak najrychlej ogarnąć i możliwie przygotować podstawy do realizacji pewnego światopoglądu i pewnego programu w tej nowej rzeczywistości.

Pracę swoją inż. Tworkowski zakwalifikował jako „materiały do dyskusji".

Wachlarz tematyki w pracy inż. Tworkowskiego jest rozległy. Porusza on nie tylko zagadnienia budownictwa, architektury, planistyki na wsi, — zagadnienia kształtowania krajobrazu z punktu widzenia artysty plastyka, lecz i zagadnienia fizjografii, demografii, ekonomiki, socjologii, historii stosunków wiejskich, — kształtowania się życia ludności wiejskiej wogóle.

Podejmuję tutaj próbę sformułowania (wcale nie wyczerpujących) paru zupełnie ogólnych uwag, jakie nasuwają się przy czytaniu pracy inż. Tworkowskiego — ekonomiście zajmującemu się zagadnieniami wiejskimi, szczególnie zagadnieniami agrarnymi.

I. Praca inż. Tworkowskiego „Architektura wsi" — „pragnie choć szkicowo wyczerpać temat" (str. 13).

Jaki temat? — panie inżynierze?

Architektury — wsi?

Czy wolno mi jako laikowi w sprawach architektury wogóle — w szczególności wiejskiej postawić parę pytań?

A więc:

Czy istotnie „właściwym dziełem architekta jest dom" (str. 19) — i tylko?

A budynek inwentarski, stodoła, spichlerz, kuźnia, studnia, gnojownia i t. d., i t. d. — nie mogą być dziełem architekta?

Kwestii domu mieszkalnego poświęca autor omawianej pracy bardzo dużo uwagi i dużo stosunkowo miejsca (str. 44 — str. 99 włącznie) — 55 stron. W rozdziale o zagrodzie — również mówi przede wszystkim o domu mieszkalnym.

Conajmniej 1/3 całej książki traktuje o tym zagadnieniu.

O „części gospodarczej zagrody" zaledwie znajdujemy krótką wzmiankę (str. 41 i następne) w „Architekturze wsi" — w rozdziale „zagroda".

Nie mógłbym się zgodzić z takim postawieniem sprawy.

Wprawdzie dom mieszkalny na wsi — dla rodziny chłopskiej jest zasadniczym zagadnieniem, ale przecież—cały zespół stosunków gospodarczych w gospodarstwie wiejskim — warunkuje stopień inwestycyj w kapitale budowlanym gospodarstwa, a budynek mieszkalny jest tylko jednym z elementów tego kapitału.

Kwestii domu mieszkalnego w gospodarstwie rolnym pod żadnym względem nie da się rozwiązać w oderwaniu od rzeczywistości gospodarczej — gospodarstwa, dla którego dom ma być projektowany.

Rozumiem — kultura, hygiena, minimum powierzchni użytkowej na jednego mieszkańca, ba i plastyka — są to sprawy bardzo, bardzo istotne, — ale planista i projektujący osiedla wiejskie i zespół budynków w zagrodzie i projektujący dom mieszkalny — nie mogą się oderwać od konkretnej (czy postulowanej) rzeczywistości gospodarczej, gdyż inaczej cała jego praca będzie miała charakter wyłącznie teoretyczny.

Reasumując:

W moim rozumieniu — nie ma nawet szkicowego wyczerpania tematu architektury wsi — gdy się pomija kwestię architektury „części gospodarczej zagrody".

Bardzo interesująca praca inż. Tworkowskiego w 1/3 poświęcona tematowi domu mieszkalnego, w 1/3 tematowi planowania wiejskiego, w pozostałej 1/3 zawierająca materiał ogólny i informacyjny — Architekturą wsi w szerszym rozumieniu tego pojęcia nie jest.

II. Pisze inż. Tworkowski — że „część gospodarcza zagrody stoi najbardziej pod znakiem zapytania, duża jest bowiem rozpiętość między skromniejszym programem zagrody w gospodarce uspołecznionej, a programem jednostki w pełni samowystarczalnej" (str. 41, 42).

Przepraszam, nie rozumiem przeciwstawienia gospodarki uspołecznionej i samowystarczalnej.

Gospodarce uspołecznionej możemy przeciwstawić gospodarkę nieuspołecznioną — indywidualną, opartą na inicjatywie prywatnej właściciela lub kierownika; — samowystarczalnej t. zn. zaspakajającej w własnym zakresie wszystkie potrzeby — niesamowystarczalną i t. d.



Odbudowa prowizoryczna

Pisze inż. Tworkowski (str. 13): „przede wszystkiem nieznany nam jest bliżej ustrój gospodarczy, przyjmuję tu jednak z góry, iż oprze się on o spółdzielczość wytwórców, a więc także i wytwórców rolnych".

Pisze inż. Tworkowski (str. 14) „i tak w chwili obecnej wieś dojrzała już do poważnych przemian społecznych i gospodarczych".

W ogóle jednym jakgdyby z podstawowych założeń pracy inż. Tworkowskiego jest teza o nasilaniu wśród gospodarstw drobnych stanowiących obecnie i w okresie pisania omawianej pracy przez inż. Tworkowskiego, prywatną własność posiadaczy — elementu uspołecznienia. Przyczym wizja uspołecznienia gospodarki rolnej u inż. Tworkowskiego— na szybkim koniu jedzie.

Już nawet dom mieszkalny projektuje inż. Tworkowski bez „wielkiego pieca chlebowego" — gdyż „w niedalekiej przyszłości wieś zaopatrzona będzie w chleb przez piekarnię spółdzielczą" (str. 51) i „przewidujemy rozpowszechnienie pralni społecznych" (str. 52).

A cóż za tempo!

Zgoda, że nieograniczona prywatna własność w gospodarstwach rolnych, że nieskrępowany indywidualizm w tychże gospodarstwach przechodzi do historii, że spółdzielczość odegra wśród tych gospodarstw wielką i reorganizującą rolę, że uspołecznienie produkcji rolnej w typie — produkcji wielkiej nie jest tematem, którego nie należy rozważać i dyskutować. Ale daleko, daleko to jeszcze od dostawy chleba na wieś przez spółdzielczą piekarnię i od prania chłopskich gaci w pralni społecznej.

Dużo wody w Wiśle upłynie — zanim dojdziemy do uspołecznienia tak elementarnych funkcyj.

I myślę, że jednak przy projektowaniu domu mieszkalnego dla chłopskiej rodziny na wsi należałoby jeszcze na jakiś czas pozostawić i piec chlebowy i pomieszczenie na pranie indywidualne.

III. Miałbym również poważne zastrzeżenie jeśli chodzi o wstępne zupełnie ogólne uwagi do poszczególnych rozdziałów jak np. do rozdziału „osiedle" (str. 100) i do rozdziału „dom w krajobrazie" (str. 86), i t. p.

Zawarte w tych uwagach uogólnienia i skróty historyczne są daleko idącym uproszczeniem rozumienia historii rozwoju człowieka, osiedli ludzkich i t. d. Dla książki inż. Tworkowskiego sprawy te jednak większego znaczenia nie mają.

Ma natomiast zupełnie istotne znaczenie używana nie dość ściśle terminologia.

Samo pojęcie architektury nie dość precyzyjnie wypada. Z tekstu nie bardzo jasno wynika gdzie się kończy budownictwo a zaczyna architektura, zaczyna planistyka.

To samo dotyczy np. pojęć: zagroda, siedlisko, osiedle.

Wydaje się, że pomimo istnienia — rozległego „Słownika Języka Polskiego" — pojęcia z zakresu planistyki nie są dość ściśle sprecyzowane w ogóle.

Sądzić by można, że kwestia ustalenia terminologii powszechnie i jednakowo przez planistów rozumianej — jest sprawą, która wymaga większej pracy i dłuższego czasu.

IV. I uwaga ostatnia.

Pomimo zastrzeżeń, jakie ze stanowiska ekonomisty nasuwają się w stosunku do pracy inż. arch. Tworkowskiego „Architektura wsi", ogólnie stwierdzić muszę:

Książka inż. Tworkowskiego jest pełna niepokoju, pełna dynamizmu, pełna dążności do zrozumienia potrzeb wsi i pełna troski o znalezienie środków i form zaspokojenia tych potrzeb.

I jest to jedna z zasadniczych cech charakterystycznych tej książki.

A druga.

Książka inż. Tworkowskiego jest pełna plastyki. Gdy inż. Tworkowski dobiera materiały, by zaprojektować dom mieszkalny, gdy poszukuje harmonji tych materiałów i całej kompozycji z otoczeniem, gdy zagrodę „wtapia" w osiedle, a osiedle w krajobraz, gdy dobiera barw i poszukuje form dla drzew jak mówi „dzikich" i innych, gdy kształtuje przestrzennie ośrodek w osiedlu wiejskim i zespala go z całym osiedlem — daje czytającemu cały szereg obrazów przemawiających do wyobraźni i zmusza go do poddania się określonemu nastrojowi.

Tak pracuje człowiek objęty „potężnym prądem twórczym".

Za autorem powtórzyć by można: „gdy przez cały kraj przejdzie potężny prąd twórczy, nie będzie przeszkód których byśmy nie pokonali" (str. 151).

*) Tworkowski Stefan — Architektura wsi — materiały do dyskusji 1945. Czytelnik. Spółdzielnia Wydawnicza. Str. 159.

Wacław Szymanowski

Przed nowym rokiem akademickim

Musimy dzisiaj wciąż pamiętać, że pod słowem „społeczeństwo" nie rozumiemy już, jak to bywało w latach międzywojennych, jakiejś elity, czy grupki w narodzie, ale ogół ludzi pracujących i żyjących ze swojej pracy — dlatego nie może być u nas żadnych wysepek choćby najbardziej szanownych, które by mogły dalej żyć swoim własnym życiem i uchylać się od kontroli społecznej. Takimi wysepkami ściśle odgrodzonymi od szerokich mas pracujących narodu były nasze wyższe uczelnie i dla własnego dobra, jak też i całego narodu stan ten będzie musiał ulec zmianie, przez stopniowe coraz większe dopuszczanie czynnika społecznego do kontroli różnych dziedzin życia w ich murach. Nie trzeba przecież powtarzać, jak ważnym jest zdemokratyzowanie wyższych uczelni, przez dopuszczenie naprawdę szerokich mas młodzieży chłopskiej, robotniczej i ze sfer inteligencji pracującej.

Czyż wobec konieczności stosowania egzaminów konkursowych na pewnych wydziałach, z powodu braku miejsc, nie jest wskazanym udział w komisjach kwalifikacyjnych także i czynnika społecznego? Przecież przy mechanicznym kwalifikowaniu studentów, tylko na zasadzie wyników egzaminu, będziemy automatycznie faworyzować tę część młodzieży, której stan materialny rodziców pozwolił na lepsze przygotowanie i nie stworzymy napewno warunków równego startu życiowego przy którym mają decydować wyłącznie: zdolności i pracowitość. Jeśli przyjąć, że wśród egzaminowanych około 10% wykazuje na zasadzie doskonałych wyników niewątpliwie inteligencję i zdolności do przyszłej nauki, choć i to należy traktować ostrożnie, pamiętając zawsze o pierwszeństwie dzieci mas pracujących. a drugie 10—15% oczywiście brak zdolności, to mamy w pierwszym wypadku wielką liczbę kandydatów z których wybór jest bardzo trudny, gdyż ich kwalifikacje naukowe mało się różnią od siebie.

I w tych wypadkach powinni występować przedstawiciele społeczeństwa, orientujący się lepiej w środowisku społecznym kandydata od profesorów, którzy zwracają uwagę raczej na stronę inteligencji i przygotowania. Czynnik społeczny wyrównywałby tu niesprawiedliwość nierównego startu z powodów materialnych i przyczyniłby się tym do tego, że młodzież wyższych uczelni naprawdę byłaby najlepszym i najzdolniejszym reprezentantem całej młodzieży polskiej, a nie tylko nielicznej bogatszej grupy w narodzie. Udział taki przedstawicieli społeczeństwa upewni młodzież chłopską, robotniczą i z inteligencji pracującej, dla której bramy wyższych uczelni pozostałyby jeszcze zamknięte, że był w komisjach kwalifikacyjnych czynnik, który stawał w obronie jej pragnień wyższych studiów jako pragnień całego środowiska, który ważył wynik egzaminów nie tylko mechanicznie, i kontrolował niepożądane protekcje. Będzie ona miała także to poczucie, że proces awansu społecznego młodzieży chłopsko-robotniczej idzie ciągle naprzód i że klasy te dotąd upośledzone będą miały rosnący wpływ na kształtowanie się życia zawodowego, naukowego i kulturalnego całego narodu.

Jest jeszcze jedna dziedzina w życiu wyższych uczelni, w której czynnik społeczny mógłby mieć znaczny i dobroczynny wpływ. Tą dziedziną są bursy i domy akademickie. które w Polsce ludowej powinny coraz bardziej rosnąć w liczbach i jakości. I tutaj kontrola tych burs i domów studenckich, walka z przerostami biurokratycznymi administracji, dbałość o rozwijanie społecznego i kulturalnego życia młodzieży, stanowią szerokie pole działania, które w rezultacie pogłębiłoby więzy tej młodzieży szkół wyższych ze społeczeństwem i także dałoby poczucie, że studia wyższe nie tylko nie powinny jej odrywać od szerokich mas narodu, ale że przeciwnie, wzmacniają one i pogłębiają więzy przynależności do mas pracujących.

Oczywiście krytycy nasi powiedzą, że dopuszczenie czynnika społecznego do szkół wyższych godzi w tradycyjną autonomię uczelni. Jak wspomniałem na wstępie nie może już być wysepek żadnego rodzaju w naszym życiu narodowym. Utrzymywanie fikcji samodzielnych, średniowiecznych, małych republik w Państwie, dysponujących sobą, bez głębszego wglądu w dobro ogółu i bez większej znajomości potrzeb całego narodu, jak też i zainteresowania tymi potrzebami, jest takim samym anachronizmem w wieku lotnictwa i bomby atomowej, jak pewne rozważania filozoficzno-scholastyczne. I wreszcie społeczeństwo ma chyba prawo wglądu i kontroli w tych instytucjach, które samo finansuje. Wprowadzając taką kontrolę społeczną uczelni — społeczeństwo będzie mogło domagać się także od swej młodzieży jak najpoważniejszego traktowania wyższych studiów i będzie mogło żądać wprowadzenia jak najostrzejszej selekcji na wyższych latach, celem ustawicznego podwyższania poziomu naukowego.

Wówczas nareszcie będziemy mogli odkryć skarby talentów i zdolności ukrytych dotychczas w warstwach chłopsko-robotniczych narodu i zapewnić im należyty rozwój w naszym kraju, dla ogólnego dobra.

W numerze 26 „Wsi" - wyniki Konkursu na sztukę dla teatru ludowego

Tadeusz Seweryn

STRÓJ LUDOWY W POLSCE

Od Redakcji:

Fragment referatu prof. Tadeusza Seweryna ma dwie płaszczyzny: część faktyczna rzeczowa zaciekawia jako narracja i interesujący zbiór anegdot dotyczących ochrony stroju ludowego; część druga przedstawiająca komentarz etnografa-miłośnika ludowości jest dyskusyjna i może budzić zrozumiałe zastrzeżenie.

Przesuwa się ona poprzez obszerny zresztą referat jako uzasadnienie nie tez naukowych, ale tendencji w dużym stopniu emocjonalnych i dotyczących gustów estetycznych, nie wartości. Dlatego właśnie dopuszcza dyskusję.

Autor uprzedzając możliwe zarzuty przytacza na wstępie racje przeciwników utrzymania stroju ludowego — obrońców rzekomej jednolitości kulturowej państwa, postępu cywilizacyjnego, równości społecznej, praktyczności i taniości ubioru fabrycznego. Zbija te poglądy i przechodzi z kolei do omówienia metod ochrony ludowego stroju, którego zanikanie uważa za objaw chorobliwy, wymagający zastosowania środków leczniczych i profilaktycznych.

Zamieszczamy część referatu najbardziej obiektywną — nie godząc się z tendencją autora — znakomitego zresztą znawcy przedmiotu.

Wysiłki zmierzające do utrzymania pewnej wartości ludu związane z jego sytuacją historyczną są charakterystycznym objawem oporu kulturowego, którego aspekt polityczny i społeczny nie musi być przecież wsteczny. Działalność kulturalna tego typu propaguje pewne emocje i gusty estetyczne — które będąc w niezgodzie z dążeniami praktyki życiowej i mody noszą silne piętno sentymentalizmu.

Pobłażliwość i humor nawet tego szkicu, którego autorem jest zwolennik mody ludowej — jest jedynym stanowiskiem wobec sprawy, której żadne rygory nie przesądzą, sprawy tak lekkiej, jak moda i tak spornej jak to, co się podoba.

*

Jeśli rostrząsamy zagadnienie stroju ludowego w teraźniejszości i przyszłości, nie wolno nam tracić z oczu jego przyrodniczych, ekonomicznych, historycznych, społecznych i psychologicznych warunków, które powołały go do życia. Nie wolno nam sprowadzać jego wartości ani do zabawy w sentymentalną sielankę przeszłości, ani do karmienia oczu barwnym piórkiem u kapelusza, wstążką we włosach albo pasiastą kiecką, gorejącą jaskrawością barw. Trzeba nam natomiast starać się o dostarczenie pod tym przyjemnym pokarmem dla oczu — wartości stroju jako istotnego ludowego dorobku kulturalnego.

Wchodzimy więc na drogę poszukiwań **metody** opieki nad strojem ludowym. Poszukiwania te dają wynik naogół nagatywny, jeśli stwierdzimy, że **opieki nad strojem ludowym nie miało w swym programie żadne towarzystwo kulturalne w Polsce. Nawet** Towarzystwa Popierania Sztuki i Przemysłu Ludowego, które wchodzić zaczęły na drogę planowej opieki na sztuką ludową, nie zajmowały się tą sprawą wcale. Niemniej prawie wszystkie towarzystwa oświatowe i kulturalne, pracujące na wsi, zgłosiły za pośrednictwem wielu działaczy społecznych, hasła zachowania stroju ludowego. Kierując się względami artystycznymi i narodowymi, nie bez romantycznego sentymentu do przeszłości, starały się one zachować kwiat, nie dbając o jego liście i korzenie. Wieloletnia działalność tych towarzystw w dziedzinie opieki nad swojszczyzną, nie oparta o żaden plan i metodę, okazała się naogół bezpłodna.

W poszukiwaniu metod pracy w tej dziedzinie nie należy sięgać po wzory zagraniczne. Nie odpowiada nam bowiem niemiecka metoda **„zglajchszaltowania" wszystkich strojów** do jednego, masowo **fabrykowanego uniformu ludowego**. Nie odpowiada nam zarówno ze względu na na formę totalistycznej opieki nad strojem ludowym, jako też nadania uprzywilejowanemu typowi stroju cech nazistowskiego munduru. Szczególnie po wojnie gdy jeszcze żywo mamy w pamięci różne zbrodnicze indywidua, paradujące po naszej ziemi w białych pończochach, zielonych kapeluszach z piórkiem lub pędzlem i wyświechtanych spodenkach tyrolskich — odraza do tego stroju stała się u nas powszechna.

W Polsce podobne tendencje nie ujawniły się nigdy, aczkolwiek wybór stroju krakowskiego, jako reprezentacyjnego stroju ludowego zdaje się być niesporny. Wszak banderie krakusów witają przyjazd biskupa lub dygnitarzy państwowych nawet w ziemiach daleko poza granicami ziemi krakowskiej. Krakowiaka tańczy się tak w Gdańsku jak i w Belgradzie lub Chicago, a w strój krakowski jeszcze niedawno odziewały się zarówno panie z zagranicznych korpusów dyplomatycznych w Polsce, jak i drużbowie na weselu rabina w Bobowej.

Takie wyróżnienie stroju krakowskiego nie ma nic wspólnego z odgórnym hierarchizowaniem stroju ludowego w Polsce. Należy tu bowiem wziąć pod uwagę momenty patriotyczno-historyczne, które wpłynęły na powszechną sympatię do tego typu odzieży regionalnej. Wszakże chłopi krakowscy szli z kosami na armaty pod Racławicami, wszakże sukmana naczelnika Kościuszki, pod Maciejowicami, stała się relikwią narodową. A potem któż to, jeśli nie chłop krakowski, krzyknął w „Weselu" Wyspiańskiego na całą Polskę, że „chłop potęgą jest i basta"? I odtąd wszelkie marzenia o wolności zrosły się z wiarą w nadchodzący świt — kiedy nowe pokolenie chłopskie zadmie „w złoty róg". Te to czynniki, obok niepospolitej dekoratywności i rycerskiej junackości tego stroju, obok dominujących w nim barw narodowych — białej i czerwonej — oddziałały bezspornie na jego charakter reprezentacyjny.

Niemniej samorzutnie, zgoła z innego podłoża, wyrastała równorzędnie reprezentatywność polskiego stroju Podhalan, Lachów sądeckich, Księżaków i Ślązaków, a niezawodnie z biegiem czasu i w miarę siły napięcia naszych zainteresowań ku innym grupom etnicznym, powstałyby nowe wykładniki reprezentatywności polskich strojów ludowych.

Te jednak samorodnie kształtujące się formy przedstawicielstwa strojów ludowych w Polsce nie mają żadnego związku z totalistyczną ingerencją państwa w dziedzinę, rządzącą się własnymi prawami.

Do odgórnych metod opieki nad strojem tradycyjnym należy też praktykowany we Francji zwyczaj, nie pozbawiony zresztą pewnej teatralności, wedle tórego merowie miast, prefekci departamentów oraz znaczniejsi urzędnicy miejscy wraz z ich żonami obowiązani są do noszenia stroju regionalnego podczas świąt urzędowych i znaczniejszych uroczystości. Zwyczaj ten wszedł w życie nie bez propagandy i nacisku francuskiego ruchu regionalistycznego, a sporadycznie przyjął się jako moda inteligecji, szczególnie pań. Gdzieindziej znów przyjęły go sfery robotnicze.

W Polsce, gdzie strojem regionalnym jest niemal wyłącznie strój ludowy, pomysł takiego strojenia się panów w piórka wiejskie przywitany byłby z łatwo zrozumiałym humorem.

Nie odpowiada nam również metoda ochrony stroju ludowego praktykowana przez zasłużone zresztą na polu oświaty ludowej szwajcarskie towarzystwa swojszczyzny, mające między innymi na celu zachowanie strojów tradycyjnych i obyczajów ludowych. Działalność tych organizacji nie może być wzorem dla nas z tego względu, że obejmują one skuteczną opieką jedynie samodziałowy strój codzienny i to tani, wytwarzany w spółdzielniach, a sprzedawany nawet w straganach jarmarcznych. U nas, gdzie strojem codziennym staje się przeważnie podniszczony strój świąteczny, prowadzenie analogicznej akcji nie mogłoby wieść do celu. U nas może być mowa przede wszystkim o zachowaniu stroju świątecznego, jako najpopularniejszego sprawdzianu naszych odrębności regionalnych oraz jako cennego dorobku kultury ludowej, wchodzącego w dziedzinę sztuki.

Nie znajdując w zagranicznych metodach opieki nad srojem ludowym niczego, co by mogło być nam przydatne do działania w naszych warunkach — dokonajmy przeglądu naszych rodzimych wysiłków. Było ich wiele ale rozproszonych i nieskoordynowanych wspólną myślą planową.

Do najdawniejszych opiekunów stroju ludowego należeli bezsprzecznie księża. Jednymi kierowało szczere przywiązanie do swojszczyzny, drudzy traktowali tę sprawę ze stanowiska potrzeb Kościoła, uważając strój ludowy za nadający się znakomicie do uświetnienia uroczystości kościelnych, przyjazdu biskupa itd. Byli wreszcie i tacy, którym strój ludowy potrzebny był ze względów wychowawczych, jako puklerz przed inwazją zgorszenia, idącego ponoć od miast. W związku z tym zwalczali oni przywdziewanie stroju miejskiego na wsi, jako oznakę panoszenia się ludu, mędrkowania i upadku pobożności. Metody stosowane w tej dziedzinie przez niektórych duchownych starszej generacji, były osobliwe. Ks. Karol Szalasny w Marcyporębie koło r. 1890, a ks. Maryniarczyk w Podegrodziu koło r. 1925 zażądał od młodożeńców, by przychodzili do ślubu w nowym stroju ludowym. Był to jednak środek naogół zawo-

*) Referat wygłoszony na Zjeździe Centr. Instytutu Kultury w Zakopanem.



Para młoda w stroju krakowskim przed 40 laty.



Gospodarz z Istebnej, pow. Cieszyn

Stanisław Skoneczny

CZWARTA WIOSNA

Jak ogród gałęziami wydłuża się w ulicę wsi,
czwarta wiosna wydłuża się w wojnę postronkami wisielców,
dla których zamiast trumien
ma koperty grabarz w mundurze brzęczącym orderami
na plamach krwi.

Wieczór zbiera pod murami echa salw egzekucji
w czapkę nocy świecącą srebrną gwiazdą trupiej głowy.
Nad ciszą miast wisi księżyc jak topór.
Wieczór płowy, jak więzień koncentracyjnego obozu,
w pasiaku wojennej wiosny
nie widzi zieleni topól.

Jasny chłopak, który pisał przed wrześniem wiersze,
przechodzi między giełdą i zdradą
z rewolwerem nabitym, jak radość
wybuchem śmiechu,
albo jak ręka
wybuchem granatu
między giełdą, zdradą i wiosną.

Bagnet grający melodię zemsty i nienawiści
na gardle pojmanego wroga
pod pachnącymi żywicą drzewami lasu,
będącego niezwyciężonym bastionem Rzeczypospolitej,
jest złotym piórem,
które
notuje zdania pierwsze
w tych dniach
wielkiego poematu.

1944

ODWRÓT

Macierzanki jeszcze woń niosą miedzami w sady
ociężałe zielenią mroku nad śladami dziecinnych stóp.
Żurawie skrzypią przeciągle, niebo podnosząc blade.
O szyby warkot myśliwców dzwonił jak uderzenie grud.

Na pustym horyzoncie drzewa idą gromadą.
Nieruchomo sterczą gałęzie nad skrzydłami wiatraków.
Drogą pełną wyboi w zmierzch wojenny idą i idą,
a szumi nad nimi lot ciągnących na gniazda ptaków.
Hełmy dzwonią o siodła, rzemienie parzą skórę.
koni łowiących w uszy trąbkę wśród sosen burych.

Wynoszą kobiece ręce w mijanej wsi garnuszki
z mlekiem kipiącym pianą. Usta piją zaschnięte.
Sypią się liście krągłe po lufach jak pełne gruszki,
Schną malwy w ogródkach, a rosa dojrzewa miętą.

Gwiazdy nie błyszczą na niebie. Wiatr drzewinę gnie,
biegnąc łąkami tratuje trawy pochylone.
Milcząca wieża kościoła wyrośnie nad wzgórza dniem
czerwona i strzelista w błękicie zadymionym.
Zabrzęczy czasem karabin, piasek mielą koła
wozów ocalałych. Głos zachrypły woła.

Płyną czarne pola ścierniskiem żyta i pszenic,
nogi oblepia droga kurzem zroszonym i mgłą.
Człapią konie, żując pociemku zapach zieleni,
Zjeżdżone deski mostu pod tupotem się gną.

Człapią końskie kopyta, nogi podbite, obdarte
Marsz wierzchołkami wierzb znaczy swój szlak
Kołyszą głowy senne sny o odwecie za Wartę.
Nad Odrą w dudnieniu potężnych dział
idą senne wizje. W gałęzie pada deszcz,
a w oknie domu, co ocalał, w fabrycznym mieście
głowa siwa i oczy pełne łez.

1944

dny. Nakazy bowiem i zakazy w dziedzinie kultury nie mogą budować rzeczy trwałych. Jako środki z repertuaru biurokratycznego są z zewnątrz narzuconym przymusem, który ścieka po człowieku, jako deszcz po gęsi, jeśli nie odpowiada mu nakaz wewnętrzy, potrzeba i przeświadczenie o jego słuszności. Nie dziw zatem, że młodzieńcy starali się omijać te zarządzenia i przychodzili do ślubu w stroju pożyczanym. Gdy ksiądz nie dał się wyprowadzić w pole, dochodziło wtedy do przekomarzań, nie pozbawionych komizmu.

— Bratku, z kogoś to zdarł? — pytał obcesem ks. Marynlarczyk.

— To ojcowe — odpowiadał, chwytając się spekulacji kandydat na młodego pana.

— Sumiennie?

— Ojcowe — nie ojcowe, ale dzisia moje.

— Aha, takiś mądry? Żenić się chcesz, a portek swoich nie masz?

Innym razem robił ksiądz proboszcz znak na podszewce wypożyczanego ubrania i zapowiadał srogo:

— Żebym ja tych portek więcej przy ślubie nie widział.

Była to zabawa w ciuciubabkę, bo znak łatwo można było wymazać lub zaszyć.

Naogół jednak księża, jako organizatorzy obrzędów i uroczystości kościelnych, oddziaływali dodatnio na żywotność stroju ludowego. W bardzo wielu parafiach w Polsce utarł się bowiem zwyczaj, że tylko poważni gospodarze w sukmanach, guniach lub świtkach niosą baldachim nad celebransem w Boże Ciało i tylko dziewczęta w miejscowych strojach ludowych sypią kwiaty podczas procesji lub niosą ukwiecone feretrony.

Gdzie indziej znowu najwydatniej w tym względzie oddziaływało duchowieństwo na lud za pośrednictwem szkoły, zanotować tu należy, że np. w renesansie stroju ludowego w góralskich wsiach Śląska Cieszyńskiego najpoważniejszą rolę odegrały dzieci szkolne, wychowane w duchu poszanowania swojszczyzny. Księża i nauczyciele posługiwali się w tej dziedzinie delikatnymi środkami działania. Wyzyskując mianowicie powszechny zwyczaj uroczystego odziewania dzieci, idących do pierwszej Komunii, tłomaczyli rodzicom, że „najrozumniejszym i najparadniejszym" strojem w takim momencie jest strój góralski i w związku z tym umieszczali dziatwę, ubraną po góralsku, na czele zwyczajowych pochodów młodzieży do kościoła, na drugim zaś miejscu — dzieci odziane po „walasku", wedle mody okolic podgórskich, na trzecim wreszcie dzieci, ubrane z miejska. Odwoływali się więc do psychologicznych właściwości rodziców, czułych w takich razach na punkcie umożliwienia swym dzieciom pierwszeństwa przed innymi albo przynajmniej zrównania ich z pierwszymi.

Wyniki tego rodzaju propagandy nie dały długo czekać na siebie. W Istebnej, Jaworzynce, Koniakowie i innych wsiach, w których ginąć już zaczynał strój góralski pod wpływem udogodnień komunikacyjnych z letniskową stolicą Śląska Zielonego, Wisłą — na nowo odżyła moda noszenia się po dawnemu. Zwykle bowiem gdy kupowano materiał samodziałowy na ubranie dla dziecka — znalazły się pieniędze na kupno stroju góralskiego i dla starszych.

Ważną też rolę w zachowaniu i propagowaniu stroju ludowego spełniały tu i owdzie w Polsce związki młodzieży wiejskiej. Już przed drugą wojną światową pojawiły się u nas próby w tym kierunku, aczkolwiek jeszcze nieśmiałe, bezplanowe, dorywcze i nieprzemyślane. Na Węgrzech jednak i w Estonii mogą te związki pochlubić się daleko lepszymi wynikami swej pracy. Przykładem dodatnich wyników fachowego oddziaływania na sprawy swojszczyzny były u nas Zjazdy Górskie, pod których wpływem lud góralski uczył się szacunku dla swego stroju, pieśni, tańca i obrzędu i rozróżniania między naleciałościami obcymi, a tradycją regionalną. Z obrzędów rodzinnych największym wzięciem cieszyło się wesele, a z obrzędów dorocznych — dożynki — dwie tradycyjne rewie najpyszniejszych strojów ludowych. Teatralny pierwiastek tych obrzędów sprzyjał wydatnie konserwacji stroju tradycyjnego.

Podobną rolę odgrywały uroczystości ludowe, organizowane w rożnych ziemiach Polski.

Zrozumiano też u nas, że Podhale, zmieniające swą gospodarkę rolną na pasterską i letniskową, posiada trzy atrakcje dla przyjezdnych: powietrze, góry i wabiące oczy swojszczyznę. W związku z tym Towarzystwo Tatrzańskie postanowiło jeszcze przed kilkunastu laty, że przewoźnikiem na Dunajcu może być tylko ten, kto ma góralskie odzienie, a dorożkarze zakopiańscy bez przymusu zrozumieli, że strój góralski jest dobrą przynętą dla gości, że to nie tylko parada, ale i interes. Nie zatroszczono się jednak o wygląd tego stroju. Nikt nie dbał o to, że na cuchę wylazły jakieś banalne kwiaty, których nikt nigdy w górach nie „cyfrował", jakieś dziewięciorniki, różowe tulipany, róże i cały ogród zielska. Nikt nie dbał o to, że przepiękne parzenice, wyśtudErowane przez wiejskich krawców, te ozdoby, którym tylko góral mógł nadać tak stylową formę, paskudziły się pstrokacizną ostów, żabich oczek, tulipanów i innych cudactw, które z portek górala robią istne „kumedyje".

Tadeusz Seweryn


Grupa młodzieży w stroju regionalnym (Istebna).


Para łowicka

Ludwik Łakomy

JASIENIEC BUDUJE DROGĘ

Poznałem Jasieniec podczas okupacji. Opodal niego, w Skarżysku Kościelnym, przewaliło się nade mną wspaniałe uderzenie wojsk radzieckich, które w wyniku doprowadziło do zdobycia Berlina. Znałem Jasieniec jako wieś zapadłą, piachami (dosłownie) odgrodzoną od świata, głodną, bezrobotną, chociaż nad podziw uspołecznioną. Tu, czasu okupacji, była ostoja partyzantki, tu zgoniony partyzant mógł odpocząć i pożywić się nieco; tu również spadochroniarze radzieccy znajdywali jak najserdeczniejsze przyjęcie.

A oto po dwu latach dostrzegam rewolucyjną zmianę na lepsze. Wsi o takim rozmachu organizacyjnym jak Jasieniec, nie wiele w Polsce. Tu dopiero jasno i wyraźnie dostrzega się, że kochanie wsi — kochaniem, gadanie o chłopach stanowiących 70 proc. narodu — gadaniem, natomiast jaskrawą realność stanowi fakt odnalezienia środka do uleczenia jej kalectwa przeszłości, środka, którym w pierwszym rzędzie jest — d r o g a.

Patrzę w uczciwe a szczere oczy mego przyjaciela z czasów okupacji, obecnie zaś kierownika budowy drogi powiatowej Skarżysko — Iłża na odcinku km 18,582 do km 26,52. Idę krok w krok za inżynierem Krogulcem i podziwiam, podziwiam. Obijają mi się o uszy określenia techniczne: roboty ziemne m sz 32385, wydobycie i dostawa kamienia podkładowego m sz 9600, pokruszenie z dostawą tłucznia oraz grysu żużlowego m sz 8000, dostawa piasku na warstwę filtracyjną m sz 4800, ułożenie podkładu m kw. 48000, wałowanie jezdni m sz. 7200, dostawa brukowca m sz 1200, zabrukowanie opasek m kw 4000, ustawienie krawężników m bież. 4000, wykonanie sączków poprzecznych m bież. 1680, ubezpieczenie robót ziemnych m bież. 16000, budowa przepustów i mostów sztuk 10+1, dostawa materiałów do smołowania ton 12000 grysu oraz ton 96 smoły, wreszcie smołowanie powierzchniowe m kw 48000.

Wykaz graficzny czyli harmonogram zaznajamia mnie z postępem robót. Personel techniczny w osobach ob. ob. Cmurzyńskiego, Dymucha i Drożdża objaśnia co do szczegółów. O sprawach administracji oraz umiejętności wiązania „końca z końcem" informują ob. ob. Żywicki, Kędziora, Sadowski, Markiewicz a także dwie hoże Jasieniczanki, zajmujące się wyżywieniem personelu.

Notując szczegóły zarazem przypominam sobie ogólne dane z fizjografii tych okolic. Wiem, że powiat iłżecki, to okręg rolniczo-leśno- przemysłowy. Wiem, że w okręgu Jasieńca istnieją dość rozległe oraz bogate w mangan złoża rudy żelaznej. Przypadkiem i to mi wiadomo, że powierzchnia powiatu iłżeckiego wynosiła przed wojną — 178263 ha, z czego ziemi użytkowanej rolniczo było ogółem 121032 ha. Ziemia żytnio-ziemniaczana, z tym, że w okręgu Jasieńca uprawia się moc lnu, gryki i prosa. A przecież wiadomo, że „kto sieje proso, chodzi głodno i boso". Bieda potęguje się tym bardziej, im gorsze w danej okolicy istnieją warunki komunikacyjne.

Gościniec błotnisty osadzi w miejscu największe wysiłki człowieka; trakt piaszczysty szybko zmęczy robotnika śpieszącego na dniówkę; nawet najskromniejsze poczynania uniemożliwi brak dobrej drogi, bez której wytyczenia oraz zbudowania i jednostki i społeczeństwa błądzą po manowcach.

Niby to nic taki sobie pośród chałup, pól i lasów biegnący długi pas z torbami kurzu na wyżwirowanej nawierzchni. I któż się zastanawia, że z postępem robót takiej właśnie bitej drogi wieś może zerwać z drzemką, ciemnotą, zabobonem, plotkarstwem i niewiarą we własne siły? Kiedy gromada jasienicka na ładnych parę lat przed wojną zaczęła zabiegać o budowę drogi, ów jeden tylko fakt zaświadczył o jej dojrzałości społecznej. Bo Jasieniec — to nie Reymontowe Lipce z ciasnym zaskorupiałym konserwatyzmem odwrócone od wójtowego Grzeli lub dobrze wszystkim czyniącego Rocha; to nawet nie Lisków z całym bagażem inicjatywy nie społecznej, lecz jednostkowej; to — zrzeszona, odpowiedzialna za to co czyni dla dobra już nie tylko swego, lecz następnych pokoleń, wola wydźwignięcia gromady wsiowej z jej bezradności, obojętności oraz stępienia.

Myśl poprzedza każdy czyn. Włodarz województwa kieleckiego a chłop z dziada pradziada, mjr. Wiślicz - Iwańczyk rzucił myśl, także chłopski syn, inż. Zenon Krogulec, myśl obleka w ciało tworząc kościec, obok którego powstaje wzorowa wieś polska: — Jasieniec. Ci dwaj ludzie nie spierali się z sobą o program zniweczenia chłopskiej biedy. Ci dwaj ludzie zgodnie orzekli, że z biedy do jasnej przyszłości może chłopów wyprowadzić tylko twarda, bez błota i piachu, **d r o g a p r z e z w i e ś.**

Wolno, lecz ustawicznie kładzie się na piach sprężysty szlak nawierzchni; szybko, jak grzyby po deszczu, wyrastają obok jej krawężników—szkoła budowlana, gimnazjum elektrotechniczne, tartak betoniarnia, poczta, jedna, druga i więcej agend spółdzielni Samopomocy Chłopskiej; z dokładnością mechanizmu zegara gromada Jasieńca pracuje nad wydźwignięciem swej wsi z marazmu, mającego swe źródło w niedostatku.

Rozglądam się w mapie. O, nie dobrze! Na bardzo krótkim odcinku, zaledwie od Łyżew do Krynek, biegnie tor linii kolejowej. Jedna droga bita Starachowice—Iłża—Radom, biegnie równolegle do Wisły wcale do niej nie docierając. Co najmniej 0,9% rolniczo - przemysłowego powiatu, to bezdroża. Nie masz z nich wyjścia bez drogi! Obszar do skowronkowych zawodzeń, do pohukiwań „oj ostre kosy nasze" w chwilach spoczynku, ale obszar nie do pracy, nie do postępu, nawet nie do jakiego takiego bytowania. Nie dziwota, że istnieją tu duże wahania cen w czasie i przestrzeni, gdyż powodują je głównie złe warunki komunikacyjne. Słowo tu niczym a i oświata bezpłodna, pokąd powiat iłżecki nie będzie posiadał kręgosłupa w postaci drogi umożliwiającej mu dostęp do Wisły a z nią i do morza.

Jest to właśnie jasienicka droga, która przeciąwszy drogę Starachowice a raczej Wierzbnik — Radom pójdzie dalej aż do Wisły.

Kiedy szczupła ekipa drogowa Urzędu Wojewódzkiego z Kielc po raz pierwszy zawitała do Jasieńca, zrazu patrzono na nią spode łba, jakby te samochody marki „James", wały i niwelatory pragnęły zatracić zbawienie pośmiertne chłopów. Kiedy przed rokiem Stasia Kozikówna przyszła do pomocy w stołówce, było to dziewczę nierozgarnięte, nieśmiałe i, niechże mi nadobna współpracowniczka budowy jasienickiej drogi wybaczy, nieco — brudnawe. Dziś Stasia zaawansowała na kierowniczkę stołówki, dziś jest ona inteligentną, roztropną, czystą i miłą, a co najważniejsze — bardzo uspołecznioną niewiastą.

Kiedy mistrzowie drogowi wszczęli prace na piaszczystym trakcie, zrazu ręce im opadały na widok ospałości, niedbalstwa a nawet i złej woli podporządkowanych ich kierownictwu drużyn. Trzeba było poganiać, błagać, prosić, potrącaniem zarobków grozić a narzędzi strzec jak skarbu, bo — ginęły. Dziś, po roku, praca idzie składnie: każdy z robotników powierzoną mu czynność wykonuje skrupulatnie, sumiennie a przy tym szybko i nie trzeba już poganiaczy, bo szlak dokonywanych robót stał się areną wyścigu współzawodniczących z sobą drużyn.

Jakimże to sposobem zaszła taka przemiana? Czy to sztab drogowy inż. Krogulca w czymkolwiek do niej się przyczynił? Trudno tu przypisać zasługi jednostkom, kiedy się widzi, jak mimo słonecznego skwaru budowa jasienickiej drogi żwawo postępuje naprzód, jak praca wre aż do chwili, kiedy słońce za lasy się skłania.

To tylko trzeba dodać, że ekipa drogowa uczyła własnym przykładem. Na wstępie uruchomiono własne kamieniołomy, wyszkolono obsługę samochodów i wałów, uczono, jak należy ekonomicznie a szybko pracować, aż wreszcie doprowadzono do tego, że dziś troska o postęp budowy stała się dobrowolna, ochotnicza, przypominająca troskę chłopa o jego własne gospodarstwo. Półobnażone plecy i żylaste ręce gną się i poruszają rytmem istot myślących, czujących oraz zdających sobie sprawę z doniosłości jasienickiej drogi.

Siedząc w czystej rozkwieconej stołówce rozmawiam z Jasieniczanami. Jeden z nich o obliczu zapaleńca, rąbie słowa twarde, odmierzone:

— W naszym Jasieńcu dokonuje się wielki proces formowania nowej rzeczywistości polskiej. Zapoczątkowaliśmy go już dawno biorąc czasu ery sanacyjnej udział w pochodach pierwszomajowych, uważając, że nie ma podziału na stany: chłopski i robotniczy, lecz, że wszyscy jesteśmy robotnikami. Wzorzec robotniczy ma być wzorcem idącej Polski, jak wzorzec szlachecki był wzorcem Polski aż do roku 1939. Przeto zapragnęliśmy, z biedy wyrośli, przekształcić zacofanego członka chłopskiej gromady według takich zasad, jakimi posługują się robotnicy w ich działalności politycznej. Postanowiliśmy stworzyć taką wspólnotę, która by nas wywiodła z niewoli kapitału. Uruchomiliśmy więc różnego rodzaju warsztaty, w których praca jednego zależała od pracy drugiego, los jednego od losu całej wsi. Pewnie, to musiało być „czerwone"!

— Przeróżni „opiekunowie" chłopów — podchwytuje siedzący na poczesnym miejscu starzec — gromili Jasieńczan określając ich działalność mianem „wywrotowej". Tak, w ówczesnych warunkach, to musiało być „wywrotowe". Za ciemnotę i nędzę obiecywali nam zapłatę w niebie; pęd do lepszego życia, mieszkania i oświaty w ich pojęciu był robotą antypaństwową...

Twarz o wklęsłych policzkach i kanciastych szczękach ożywia się; zniekształcone od okaleczeń palce zwierają się w pięść; mówca, zda się, że „robi" słowa, że wykuwa je w głębi swego mózgu:

— Nie mogliśmy się doprosić o szosę, chociaż bez niej żyć nie sposób. Wszelakie nasze starania i zachody spotykały się z pogardliwą obojętnością. Perswazje, że toniemy w błocie lub mordujemy się w piachu, nie odnosiły skutku u „kompetentnych czynników". Trzeba było dopiero manifestu lipcowego, aby wynędzniała gromada Jasieńca uzyskała prawo wkroczenia w szranki współczesnych dziejów świata przez budującą się teraz właśnie drogę.

Zaczyna przemawiać szorstki w obejściu młodzan, imponujący swą zewnętrzną postawą byłego żołnierza - partyzanta:

— Co tu gadać! — uderzenie dłonią w kolano, jakby przypieczętowanie tym ruchem sprawy już dawno przesądzonej. — Za rok o tej porze wykończymy drogę; prócz szkoły budowlanej uruchomimy gimnazjum elektrotechniczne; wydobycie limonitu w pobliskiej kopalni rudy żelaznej, która czasu wojny służyła nam za miejsce zbiórki partyzantki, wzrośnie tak dalece, że huta starachowicka wyprodukuje i nam tyle szyn, iż w lot ułożymy tor kolejki Skarżysko — Jasieniec — Lipsko — Wisła. A potem wytwory wsiowej pracy drogą najtańszą, bo wodną, popłyną hen, w świat.

Stanowcze i mocne są zawsze chłopskie słowa i uściski. Już żegnając się słyszę wyrazy szybkie jak ruchy a ruchy pewne, jak uderzenie młota na stalową sztabę:

— Tu będzie stał młyn, tu fabryka maszyn rolniczych, opodal rzeźnia a tam Ośrodek Zdrowia. Znikną słomiane strzechy, zastąpione przez wytwarzaną już przez nas dachówkę. Obok kamieniołomów, uruchomionych przed rokiem, powstanie cegielnia. Domostwa z cegły przekształcą oblicze wsi, która obecnie pragnie tego wszystkiego, co dotąd było udziałem tylko bardziej przedsiębiorczych lub szczęśliwych jednostek. Wyżwirowany, o sześciometrowej jezdni, obsadzony drzewami jasienicki gościniec wywiedzie nas na obszary Ojczyzny zrzeszonych ludzi pracy. Ojczyzny — ziemi mlekiem i miodem płynącej.

Ludwik Łakomy

Tadeusz Chróścielewski

„W y ż y n k a"*)

O książce Teodora Goździkiewicza

OMYŁKA

Pierwszą grupę nowel „Wyżynki" można nazwać **grupą dworu i wsi.** Złożyły się na nią trzy utwory napisane między rokiem 1924—28. W noweli tytułowej przedstawiony jest wyzysk dziewcząt folwarcznych ze strony dygnitarzy dworskich. Zaczyna się ona udanym opisem pełnej fałszywego serwilizmu uroczystości Wyżynki (dożynek) i dalej już mowa o wydarzeniu, które nazywa autor „historią starą jak starymi wieś i dwór być mogą" — uwiedzenia Józki przez rządcę. Dziewczyna ku zgorszeniu dworu i koleżanek odrzuca praktykowany zwykle w takich razach podarunek i jak się zdaje — popełnia samobójstwo.



TEODOR GOŹDZIKIEWICZ

Noweli — niewolnej od efektów melodramatycznych — przydaje autor poetyckie zakończenie o „krwawej doli ludzkiej", która „idzie po wydeptanych bosymi nogami ścieżkach i łka".

Artystycznie najlepsza druga z rzędu nowela pt. „Polowanie" mówi o tym, jak rozrywka panów staje się mimowolną przyczyną śmierci chłopa, którego rozszarpuje zraniony dzik zabłąkany miedzy płotami. Wieść o masakrze nie budzi zainteresowania u zadowolonych z siebie myśliwych.

Utwór ostatni —najjaskrawszy.

Paniak — syn dziedzica nie posiadający żadnych hamulców moralnych, dwudziestoletni bęcwał znakomicie scharakteryzowany — goni dziewczynę zbierającą w pańskim lesie chróst. Podniecony pościgiem, który właściwie zaczął dla sportu, bije ją nieludzko. Po kilku dniach na wiadomość o przyjściu matki pobitej znajduje jedynie te słowa: „Głupstwo ,tatku, skórę ma twardą i nie tyle powinna wytrzymać."

Gdy zaś ojciec oznajmił mu, że dziewczyna umarła, mówi: „Pewnie (matka) coś chciała na pogrzeb. Oni wszyscy tacy, nie żal im dziecka, lecz pieniędzy wydanych na pochowanie. Pieskie nasienie!"

Goździkiewicz posiada cenny dar chwytania wtórnych szczegółów życia i nadawania im głębi w rzucanych z lekka niemal od ręki obrazach.

Czy chwyta jednak w juweniliach, jakimi są powyższe trzy nowele, zasadnicze kontury rzeczywistości zmiennej i ciągle narastającej? Wątek pierwszej i trzeciej noweli kształtowała długotrwała tradycja literacka wywodząca się z wczesnych warstw sentymentalizmu z jego egzaltowanymi powieściami w typie Richardsona i transparentem ideowym: Deklaracji praw człowieka i obywatela. Wątki te są żywotne przez cały XIX w. — który ustanowi „Sturm und Drangperiode" myśli liberalnej kiedy to jednostka była punktem wyjścia i dojścia. Problem społeczny skupiał się na proteście przeciw znieważaniu godności ludzkiej osoby niższej stanem, ponieważ odkryto, jak to typowo określił znany sentymentalista rosyjski I poł. XIX w. Karamzin, że „i chłop umie czuć". I stąd w przeróżnych „Biednych Lizach" i „Halkach" bez końca powtarzamy motyw uwiedzenia przez panicza lub użycia wobec chłopa przemocy fizycznej. Siłę ciążenia problemu wzmacnia się nieodłączną melodramatycznością oraz tragicznym zakończeniem. Wątek drugi znalazł w literaturze polskiej typowy wyraz w popularnym meladramatycznym „Janku Muzykancie".

Ta właśnie siła tradycji zaciążyła fatalnie na młodym Goździkiewiczu, czyniąc nieczułym obserwatora — realistę na zjawiska **znamienne** (co jest właśnie podstawowym warunkiem realizmu), jakie rzeczywistość musiała na każdym kroku roztaczać przed oczyma młodego nauczyciela wiejskiego. Ta siła nakazywała właśnie wybierać na tworzywo artystyczne zawiska wyjątkowe, dyktowane przez anomalie psychiczne, z których pierwsze (uwiedzenie) jest anomalią ponadwarstwową i ponadczasową, a drugie (bezkarne pobicie) było wprawdzie typowe, lecz w czasach pańszczyzny, w epoce „Żeńców" Szymonowicza i „Popiołów".

Dlatego też obie nowele wyślizgują się spod rygoru problematyki społecznej, stają się — wysoce artystycznym — udramatyzowaniem szczegółu **kroniki kryminalnej.**

Na tym polega omyłka Goździkiewicza. Wieś i dwór w latach pisania „Wyżynki" szamotały się nie na wąskiej przestrzeni „osowiałego trawnika", na którym pijany rządca „szukał rąbka" józczynowej spódniczki, lecz zwierały się jako dwie równoważne siły w walce o byt, pchane logiką procesów społecznych i ekonomicznych. Ta walka wrzała na trybunach sejmowych, gdzie interpelowano w sprawie reformy rolnej, zakłócała ciszę gabinetów ministerialnych, gdzie ustawa szła pod sukno, dawała znać o sobie po chałupach w czasie długich wieczorów rodzinnych, odczuwało się ją na zebraniach organizacyj wiejskich, „grzmiała nią ambona"", „dyszały konfesjonały".*)

O reformie rolnej wspomniał Goździkiewicz tylko raz w scenie, której przesada świadczy o ówczesnej niedojrzałości świetnego prozaika.

POKIWALI MAATUŚ GŁOWĄ...

Pomiędzy nowelami dworskimi a trójką końcową którą pozwolę sobie objąć wspólnym tytułem: „Ręka gromady", leży uwikłane w gąszcz zbytecznych pozycji opowiadanie: „Najstarszy z rodziny". Zostało napisane w r. 1928, na pięć lat przed wyjściem powieści, która ukazała całej Polsce jedno z dwóch rozgałęzień tragicznego epilogu omawianej noweli. Mam na myśli „Wierzby nad Sekwaną" J. Wiktora. „Najstarszy z rodziny" zaczyna się sielankowym opisem odwieczerza u Skocznych, zatrzymuje się na nim długo i odrywa z wyraźną niechęcią — dobrotliwe spojrzenie autora, niezrównanego w kreśleniu pogodnych obrazków z życia dzieci.

W nocy jednak dorastający Józek usłyszał niechcący fragment niewesołej rozmowy rodziców. Mówili o skrawku ziemi „takiej jak psi pazur", że nie ma co do gęby wrzucić. Najlepiej byłoby, żeby Józek wyjechał do tej Francji. I na siebie zarobi, i im ulży, a przecie nie zginie. Józek zrozumiał ciężką sytuację rodziców i po przeżyciu bolesnej rozterki zdecydował się na wyjazd. Wynurza się z odległych zakamarków pamięci wątek bajki ludowej o Jasiu i Małgosi a potem wiersz z „Godów" Konopnickiej:

„Pokiwali matuś głową,
Popłakali mało wiele,
Dali czapkę barankową,
Tatusiową kamizelę...
Idźże, Jasiu, w świat szeroki..."

Przypomnienie to nie jest jednak wynikiem bezwolnego unoszenia się na fali tradycji literackiej. Powoduje ją podobny mimo upłynięcia 60 lat stan ekonomiczny wsi z tymi samymi możliwościami obronnymi, a właściwie brakiem ich na skutek anachronistycznej struktury bytowania izolowanych, zdanych wyłącznie na siebie gospodarek rodzinnych. Przy tej strukturze — gospodarstwa karłowate skazane były na wegetację. Stąd wielorazowe falujące liczby ukrytego bezrobocia i tragiczny exodus polskich rolników w czasach dizałainości pisarskiej autorów „Pana Balcera" i „Za chlebem" na Zachodnią półkullę, a w latach gdy Goździkiewicz pisał „Wyżynkę" do Francji i Niemiec.

Spojrzenie autora posiada już znaczną wnikliwość i rozpiętość. W wydarzeniu w rodzinie Skocznych Goździkiewicz widzi nie efektowny temat nowelistyczny, lecz **fakt społeczny** o zasięgu dalszych niż kopiec graniczny trzymorgowej gospodarki.

„A gdzie to masz lepiej — rozprawiają rodzice — gdzie? i na Kapinkach, na Budzicznej i Sokołów cały, na Dębinie, wszędzie ludzie na tych zagonach siedzą i jakoś biedę klepią... nikomu się nie przelewa. Zaradzisz to co? bieda i tyle... pożyczyć by było i inni pożyczają i stać ich na to... — i mają więcej bo zarobią..."

Wieś widziana oczyma Goździkiewicza przypomina jakąś wyspę odludną i oddaloną od szlaków morskich. Znajdują się na niej rozbitkowie, ale rozbitkowie zgoła dziwni: obserwują się z pod oka, żyją każdy na własną rękę.

Uchwycił tu Goździkiewicz punkt najwyższy dramatu, jakim jest życie przeciętnej wsi. Od tego miejsca jest już tylko możliwe albo zejście ku katostrofie, albo poderwanie się w nagłym wysiłku, jaki podobno czyni organizm w śmiertelnym niebezpieczeństwie na wyżynę.

RĘKA GROMADY

Założono we wsi spółdzielnię. Nowiuteńki sklep cieszy oczy niepokalanie czystą wagą. Cóż stąd, kiedy pierwszy klient — ośmioletnia dziewczynka nie dostała w nim śledzi. Nowoobrany prezes odczuwa wyrzuty sumienia, wyjeżdża w nocy, w siarczysty mróz do odległej składnicy, aby po wielogodzinnej mordędze przywieść zapotrzebowany towar — oto treść noweli „Śledzie" — jednej z najlepszych pozycji w dorobku Goździkiewicza: zwartej odznaczającej się subtelnym rysunkiem psychologicznym i świeżością wyrazu. Bohaterem „Gorącego dnia " jest skarbnik, który przezwyciężył pokusę „wypożyczania" sobie z kasy spółdzielni 8 złotych na koszta wycieczki dziecka.

W noweli „Ręka gromady" spółdzielnia mleczarska wynajmuje połowę chałupy należącej do chłopa — ambita, co żył na osobniaku. Budynek stał niedokończony — Z winy kryzysu i złych zbiorów. Zarząd spółdzielni ofiarowuje Grzesiakowi komorne o 100 proc wyższe, niż taksa, ażeby w ten sposób umożliwić mu zakończenie budowy. Nie przyszła ta decyzja łatwo: musiano w sobie przełamać — zazdrość sąsiedzką, i ociężałość decyzji.

Goździkiewicz pokazuje wieś nową (nowela pisana w latach 1935 — 37) kształtującą się dopiero. Tradycyjne wzorce do tej wsi nie przywierają. Równie nie pasuje Sienkiewicza wieś Barania Głowa , co Faleniec Dolny, który opuszczał kiedyś Andrzej Radek, aby z chłopskim uporem sięgnąć po indywidualny awans społeczny. Nadopłotkowo rozumował w Faleńcu jedynie zaplątany weń przypadkiem obcy przybysz, chory na gruźlicę inteligent, nauczyciel dworski.

Inna rzecz, że ta samodzielność, a także zbyt uczciwe teraz pozostawanie w granicach typowości: wystrzeganie się wszystkiego, co w żargonie literackim nazywa się „krzykiem" znacznie osłabiają siłę fikcji artystycznej i dlatego najbardziej rozbudowana ideowo „Ręka gromady" stoi już na pograniczu nudy.

Goździkiewicz stara się uchwycić zasadnicze przemiany w życiu wsi. Chociaż treściowo obie nowele związane są z ruchem spółdzielczym nie wydobywa go autor nigdzie na pierwszey plan. Dla autora „Wyżynki" ważna jest **nie tyle instytucja,** która posiadała zbyt krótkie ręce, by przebudować życie ekonomiczne kraju, co fakt, że za jej pośrednictwem kształtują się **nowe cechy psychiczne,** potrzebne do wyjścia z impasu warstwy chłopskiej. W każdym bohaterze nastąpiło jakieś drgnienie duchowe, niezauważalny przełom, po którym dusza wzbogaciła się o nowe wartości, świadomość życia wewnątrz zbiorowości, poczucie odpowiedzialności wobec grupy, podporządkowanie interemu własnego—ogólnemu („Śledzie" i Gorący dzień") naodwrót grupa poczuła się powołana do opieki nad jednostką („Ręka gromady"). Tak z jednej jak i z drugiej strony nie jest to jakiś franciszkański idealizm, ale świeżo rozbudowana chłopska świadomość, że w ten sposób łatwiej jest wędrować z „Wyżynki" na wyżynę .

* * *

Recz w tym, że prozaik stał przed faktami, które wiele mówią dla polityka, czy historyka socjologa lub ekonomisty, i Goździkiewicza nawet one poruszyły. Ale zrozumienie współczesnej rzeczywistości wiejskiej i odsłonięcie tego, co ona oznacza, udało mu się w tych tradycjach pojęciowych i artystycznych które najmgliściej mogły sprostać zadaniu. A te tradycje — że raz je jeszcze przypomnimy — to:

1) Literacka — dramat „Halki" i „Janka Muzykanta"; pojęciowa — filantropijno - moralistyczne dbanie o godność jednostki z niższych warstw tak właściwe dla tej inteligencji, jaką krytykuje w „Rodowodzie społecznym inteligencji polskiej" J. Chałasiński.
2) Literacka — bajka o wygnanym z domu Jasiu, wznowiona przez Konopnicką na materiale wychodźctwa chłopskiego u schyłku w XIX; pojęciowa — to samo filantropijne czulenie się nad ciężką dolą chłopa - człowieka, bez szukania dalszych przyczyn społeczno - ekonomicznych i konsekwencji ustrojowych.
3) Literacka — „kochajmy się bracia", jaką u Fredry znamy z „Zemsty" („Zgoda, zgoda a Bóg wtedy rękę poda"), jaką Prus odnawia w „Placówce", kiedy pogorzelcowi Ślimakowi sąsiedzi znoszą co się da, pod przewodnictwem księdza.

Z konwecji tej nie wyłamuje się i spółdzielnia Goździkiewicza. Wpisany w nią jest nie projekt nowego ustroju społecznego, ale projekt idealnej moralności zbiorowej, która nic nie wie i nie bardzo chce wiedzieć o ustrojach.

Pojęciowo Goździkiewicz obraca się w kategoriach myślenia inteligenta uwrażliwionego społecznie w stylu bohaterów Żeromskiego.

W wyniku pisarz rejestruje jakoś zaszłe zmiany na wsi polskiej po roku 1930, ale to co zauważa pozostaje pod jego piórem niejasne, niedomówione i nierozstrzygające: pozostaje bowiem wrażenie, że wieś dąży do społecznego skupienia się, do uzależnienia jednostki od grupy i dbania o jednostkę jako członka grupy. A taki obraz mógłby mieć miejsce na wsi polskiej i przed 50-ciu laty i przed 100-tu. W dużym stopniu pozostał dla Goździkiewicza nieznany **mechanizm historii** lat międzywojennych, sił społecznych i struktury ekonomicznej, jaki wówczas uspołecznienie się wsi wytwarzał i treści tego uspołeczniania.

Goździkiewiczowi - pisarzowi nie przyszedł w pomoc ani Goździkiewicz — działacz polityczny tak, jak to było w pisarstwie Andrzeja Struga, czy Władysława Kowalskiego, ani również Goździkiewicz — badacz, socjolog i ekonomista. W realistycznej prozie, biorącej za przedmiot obrazki z życią określonego środowiska, wiedza działacza i naukowca nie zastąpi wprawdzie talentu, ale jej brak zmniejsza wartość talentu. A kto wie czy nie są one pewną (i napewno wyższą) formą talentu, warunkiem jego „wyrażalności".

*) Teodor Goździkiewicz „Wyżynka" — Księgarnia Łowicka — Nauczycielska Spółdzielnia z odpowiednimi udziałami — 1946.

*) Młode pokolenie Chłopów — J. Chałasińskiego — Warszawa 1938 t. II str. 225.

Leonard Sobierajski

Ś r o d o w i s k o

Autor „Wyżynki" wyszedł z podsieradzkiej wsi. Powiat sieradzki to zaiste charakterystyczny swoją typowością wycinek Polski. Gdybyśmy z góry nań spojrzeli, zobaczylibyśmy krainę rolniczą, pozbawioną prawie całkowicie unerwienia gospodarczego. Czystość zielonych szachownic burzy tu tylko najdalszy przyczółek łódzkiego okręgu przemysłowego, wrzynając się kominami Zduńskiej-Woli w siołowy krajobraz. Poza nim nic nie mąci błękitu nakrywającego hermetyczną kopułą tę zaspaną jakby ziemię. Widny z dala komin sieradzkiej gorzelni jest rozpaczliwie samotny, monotonny pomruk młynów przydaje miasteczku atmosferę jakiejś tylko zbożowej, roślinnej wegetacyjności. Do ostatnich chwil Sieradz robił wrażenie miasta zapóźnionego, miasta, które uparcie trwa na marginesie ambicjii gospodarczych, spoglądającemu z boku wydawało się, że zakrzepł w tradycyjnym kształcie.

Powiat sieradzki usiany był dworami. Pańskie siedziby nadawały ton całemu rejonowi. Wielkie obszary dworskie produkowały zboże, kartofle, oddając młynom i gorzelniom swój surowiec. Dochody z tych majątków nie szły na żadne inwestycje przemysłowe, powiatu nie bogacono, nie otwierano przed nim nowych możliwości gospodarczych, jedyną inwestycją były kamienice w stolilcy.

Drobne gospodarki chłopskie usychały nie znajdując w zaspanym środowisku maleńkich miasteczek (Burzenin, Złoczów, Warta, Szadek) rynku zbytu na produkty, gospodarki te, prowadząc uprawy na „lekkich" żytnio-kartoflanych ziemiach, nie znajdując żadnych bodźców gospodarczych dla jakichś upraw specjalnych czy hodowli, produkowały tylko dla siebie, coś nie coś oddając na małomiasteczkowe rynki.

Dąbrowa, rodzinna wieś Goździkiewicza, jest jakby wyciśnięta na peryferie powiatu, odsunięta od głównej arterii (szosa — Łódź — Kalisz), wydaje się być zdaną na samą siebie, świat się przed nią nie otwiera ani szosami, oddalonymi o kilometry, ani linią kolejową. Otoczona ona była polami dworskimi takich majątków jak: Dąbrowa (przed wojną użytków rolnych około 800 ha), Dębołęka, Dąbrówka. Nad chłopem mimo przeobrażeń ustrojowych, ciążył z dawnych lat cień „pana", w którego rękach nadal koncentrowały się dobra materialne. Stąd u autora „Wyżynki" kompleks dworu, wynikający z warunków lokalnych. Pisarz musiał się otrząsnąć z ujarzmiającej atmosfery tradycyjno-feudalnych stosunków.

Nowela Goździkiewicza „Najstarszy z rodu", jest ilustracją społecznej struktury powiatu sieradzkiego. Przed dzieckiem chłopskim z dużej rodziny, mającej wyżyć z trzymorgowego gospodarstwa, nie ma żadnych perspektyw. Siedemnastoletniemu chłopcu tak zbudowany powiat nie da pracy, nie dadzą pracy i inne tego typu powiaty, musi on być wyrzucony poza burtę kraju — wyjeżdża do Francji „na roboty".

A teraz wieś „Bocheń" w powiecie łowickim. Nasz autor jest tam kierownikiem szkoły. Widzi on, że wieś ta stoi już na innym szczeblu rozwoju społecznego i gospodarczego. Wieś ta była wcześniej wyzwolona z systemu feudalnego, starły się już w niej pańszczyźniane piętna świadomości chłopskiej. Chłop wsi bocheńskiej myśli samodzielnie o swoim losie, konkretnie wypracowuje poprawę swego bytu, robi to przez spółdzielczość, poprzez formy wspólnego, gromadzkiego działania. Bocheń autorowi podsuwa nowe wzory społeczne chłopa. „Gorący dzień" czy „Śledzie" to są u Gwoździkiewicza nowe znaki widzialności wsi. Goździkiewicz tymi właśnie nowelami wypełnia dobrze swoją funkcję społeczną — pisarstwem sygnalizującym przeobrażenia „psychiki chłopskiej", uwarunkowane ustrojem społecznym i gospodarczym.

Władysław Dunarowski

KUKUŁKA I SZPAKI*)

Fragment

— Babko, byliście wy kiej na samym szczycie Mogielnicy?

— Coś ci ta strzeliło do głowy? Nalejże wody do żeleźnioka, bo pryska. Jaką ty masz tę głowę? Ze szkoły wnet wyjdziesz, a nic nie znać po tobie... Pod sprawością, że nic. Na Mogielnicy czym była? Możem ta i była. Nie pamiętam.

Stuknęła mocniej krosnami. Bo nieprawda z tym niepamiętaniem. Tak się jej tylko powiedziało. Dosyć się nalatała po Mogielnicy i sąsiednich górach, gdy Feliks tam pasał przez lato. Latała na grzyby, na jagody, jedzenie nosiła braciom, którzy tam drzewo rąbali — a zawsze tak się jakoś składało, że z Felisiem się uwidziała. Od tego do tego, aż zanieśli na zapowiedzi. Potem działo się wszystko zwyczajnie. Zaczęli gazdować i we dwójkę pchać swą dolę. Tylko że nie bardzo było na czym gazdować. Więc po roku wyjechał Feliks do Ameryki, gdzie spędził sporo lat w huku i jazgocie jakiejś stalowni. Wrócił głuchy z dużymi ranami na nodze, które stale się odnawiały, ale dolarów coś przywiózł i grunt dla dorastającej córki kupił. Gdyby był piśmienny, przywiózłby tych dolarów znacznie więcej. Cóż miał począć, że trafił na kolegów, którzy go wykorzystywali w bezlitosny sposób. Każde przeczytanie listu z kraju, napisanie od siebie, musiał opłacać gęstymi poczęstunkami. Jak było się bronić? Więc potem podwójnie harował, podwójnie oszczędzał, bo grunt do kupna miał upatrzony.

Po kilku latach znów trzeba było wyjechać za morze, do tej samej stalowni, bo dzieci się skądś nabrało, więc dla nich o gruncie też trzeba było pomyśleć. Póki sił starczy. Póki człowiek trzyma się jako tako. Gdy wrócił trzecim razem, był już dziadkiem — a babka — babką. Na Mogielnicę rzadko które spozierało, choć sterczała ku niebu przed ich oknami.

Za to Hanusia noskiem rozgrzała szybę i spoglądała w tamtą stronę, ku Mogielnicy, gdzie w jednym ze stu parowów jest jej dom, w którym matka także tka płótno, a siostra robi swetry na zarobek. Gdzie brat Jasiek... No co do Jaśka nie jest pewna, czym jest zajęty. Może szewcuje... Tak mało go pamięta. Przez cała wojnę tylko z partyzantami trzymał, w domu nie usiedział ani chwili, to też nic dziwnego, że Hanka zaczęła go uważać za obcego. Dziś las pusty i cichy. Jasiek pewnie w domu siedzi, ale Hanka poszła do babki, aby być jej wyręką, i nic nie wie, co się tam dzieje.

O ojcu wspomniała sobie na samym końcu. Bo to najsmutniejsze. To przecież tak niedawno było. Ktoś doniósł, że niemcy robią obławę za partyzantami. Że z dwóch stron otoczą Mogielnicę. Widać niemieckie szpicle wywęszyły, bo nie sposób, żeby swój zdradził.

Więc Andrzej pośpiesznie usuwa z obejścia to wszystko, co mogłoby go zgubić. Zapasy żywności, broń, koce... Dużo tego. Samych granatów wór ciężki. Ach, te granaty!

Wieczorem wpełzł do chaty na czworakach poszarpany ludzki łachman z wypłyniętym okiem, z urwaną stop., i tysiącem mniejszych ran, silnie brocząc krwią. To był Andrzej. A Hanka nie poznała swego ojca.



rys. St. Cieloch

Teraz Andrzej jeszcze bardziej musiał się kryć, dopóki nie pozdrowiał mało wiela. Bo potem już nie potrzebował się bać niczego: ani szpiclów, ani obław, ani łapanek na roboty, ani wszystkich szwabów razem. Niczego. Tak, niczego się nie lęka, ale i nic go już nie cieszy. Ożywił się nieco na wiadomość o zupełnej klęsce Niemiec i pokoju, lecz nie na długo. Bo potem przyszła jeszcze większa apatia. Czasem dla rozweselenia zakuśtykał aż do babki. Trza się przecież czasami przewiedzieć, jak się tam jego Hanka sprawuje.

Lecz babka wnuczkę chwali, a jego zasypuje pretensjami. Bo czy potrzebne to było? Sam zdrowie stracił, dzieci nie odchował, a i gospodarka skapieje do cna.

Andrzej milczy. Cóż tam babce tłumaczyć, co było potrzebne, a co nie? Deklamować o Polsce, Ojczyźnie, poświęceniu, nie umiał. A dlaczego brał udział w tym wszystkim, co się potajemnie tu działo, a czego najlepszym świadkiem była Mogielnica, tego zdefiniować nie potrafiłby ani wtedy, ani dziś. Było coś takiego w powietrzu, w ziemi, w sercu i w każdym oddechu ludzkim, co nakazywało niszczyć niemców na każdym miejscu, wszędzie. On się temu głosowi nie sprzeciwiał. A że przy tym siebie tak nadwyrężył... A no przez własną nieostrożność najwięcej. Chociaż w tym pośpiechu... No, dobrze że się tak skończyło. Mogło być dużo gorzej. Ile ich tam leży na Mogielnicy, to tylko on coś o tym wie. Nacięte krzyżyki na starych pniach i inne znaki wskażą drogę do tych, po których ślad już rozpłynął się w wirze wielkich wydarzeń.

Babkę tochę wzruszył wygląd Andrzeja, jego smutek w pozostałym oku, ale mimo to marudzi.

— Widzisz, żebyś był jak inni, tobyś tu nie styrcoł na tej jałowiźnie, ale byś pojechał z innymi na owe grunta, jakie dają na Zachodzie. Nie, wierzyć się nie chce, żeby to była prawda. Bo jakże? Całe grunta, budynki i wszystko? Mocny Boże! Mój stary trzy razy się wlókł do Ameryki, zdrowie stracił i ledwie tych paręnaście morgów dokupił, a dziś bez niczego... Całkiem się mi w głowie miesza, jak myślę o tym. Jemu dochodzi dziewięćdziesięt, mnie idzie na siedemdziesiąty ósmy rok, a z tego razem byliśmy ledwie parę lat. Bo czasu, jak wrócił trzecim razem, już nie rachuję.

Andrzej roześmiał się, babka syknęła ze złości. Potem jeszcze dodała:

— Z ciebie, kiej cie tak oporządzili, też baba pociechy mieć nie będzie. Widzi mi się, że ty a mój stary — nie wielka różnica?

Właśnie dziadek wszedł cichutko do izby, a zobaczywszy Andrzeja, ucieszył się serdecznie.

— Dobrze, żeś przyszedł. Zwichnąłem se rękę, a nie mam nikogo, żeby mi trochę naciągnął. Jak cię proszę... ino mocno pociągnij!

Babkę denerwuje to ciągłe gadanie o zwichnięciu ręki. Gdzieżby zwichnięcie powtarzało się co parę dni.

— Nie bądźże, Jędruś, cudokiem i starego nie słuchaj. Zwyczajny rymatys przywiózł z tej Ameryki, a plecie wciąż o zwichnięciu. Powtarzam mu nieraz i mówię do rozumu, ale on swoje i swoje. Kto ino się nabliży, każdego molestuje, żeby mu rękę naciągnął.

— Mojeśty, nie słuchaj jej, bo ona nic nie wie. W nocym se zwichnął i dobrze pamiętam, kiej to było. Jeszcze mocniej pociągnij, jeszcze... o! No, może mi nalży. Bożeś ci zapłać.

Staremu zdaje się, że ów nowy ból przysłoni tamten; a gdy ustanie — to niezawodnie razem ustaną. Z tej radości gotów opowiedzieć coś ze swych przeżyć w Ameryce. Dowiaduje się jednak, że większe nowiny przynosi Andrzej. Bo ani razu nikt nie gadał, że Jasiek ma zamiar jechać na grunta. Inni jeździli na przepatry, wracali, znów odjeżdżali, ale Jasiek siedział i nigdzie się nie ruszał.

— Kawalerom przecież nie dają gospodarstw — wtrąca się babka.

— Przecież jest w latach, to nie trudno zaradzić temu, żeby nie był kawalerem. Transport odjeżdża za tydzień, w tym czasie dużo można zrobić. Ksiądz nie robi trudności, to reszta też pójdzie gładko.

Znowu dużo dopytywania, z kim się Jasiek żeni, co bierze, kiedy wesele. Andrzej jest w kłopocie, bo właściwie to nie wie, z kim się syn żeni. Więc zasłania się dyplomatycznymi niedomówieniami, że to niby jeszcze nieugodzone, że niewiadomo.

Po prawdzie to jego mało przejmuje całe wesele. Dawniej było co innego; od tego kroku zależał cały los. To też dokładnie badano, czy te jej morgi warte są uprawy, czy z nich wyżyje, pilnowano każdej pozycji przy zapisach. Dziś to nieważne. Jasiek dostanie grunt z budynkami, więc niech się żeni, z kim chce. Byle dziewczyna była robotna, bo tam na tylim gospodarstwie lenić się nie można.

— Święta prawda, robotna musi być — przytwierdzają oboje. A nie wiesz, daleko to stąd?

— Nie bardzo. Od Krakowa jeszcze drugie tyle.

Więc uznali wszyscy, że istotnie niedaleko. Nie żadna ukraina. Nawet przez morze nie trza jechać. Swój kraj.

Babka ciężko westchnęła i spojrzała na starego. A potem raźno zabrała sie do krosien.

— Widzę, że straśnie pilnujecie roboty. A przecież wam nie nowala.

— Co ty mówisz. Wiosna już, już, a kiej pokończę wszystko?

— Po co żeście tyle naprzyjmowali?

— Ano widzisz... ten prosi, ten prosi. Zreśtą jużbym miała gotowe, żeby baby lepiej przędły. Ale że nici wciąż się rwią...

— Mówicie: nici się rwą... Za to wiosna u was lada dzień. U nas jeszcze śnieg, zaspy miejscami na chłopa.

— Tak jeszcze u was? Nie dziwota. Mogielnica zasłania, duży cień... Ale jak ruszy, to ruszy.

Wreszcie ruszyła. Od paru dni wiosna. Więc wszystkie kłopoty maleją i nikną. Babka nie narzeka, a Hanka wełny nie skubie. Radosna zmiana. Pochylone nad warsztatem plecy babki grzeją się przy wiosennym słońcu. Bury kot bawi się na podłodze nitką z ostatniego motka.

A potem tysiące spraw innych. Warsztat tkacki idzie na strych, a babka gałęzią choiny omiata ściany z kurzu. Potem obmywa obrazy, wyciera stary zegar z kukułką. Przy tym musiała nacisnąć jakąś sprężynę, bo ptaszek wyskoczył, nawet kiwnął się parę razy, ale głosu wydobyć nie mógł. Kobiecinę wielce to rozrzewniło.

— Widzisz go! Co on se myśli? Myślałam, że już całkiem zepsuty... Ty, stary, kiedyś ty go przywiózł z Ameryki — za pierwszym czy drugim razem? Pewnie nie pamiętasz...

Dziadek nic nie odpowiedział dlatego, że nie słyszał, co do niego mówiono. Dzisiaj ręki sobie dziwnym trafem nie zwichnął, ale za to ogłuchł jeszcze bardziej. To też ciężko się z nim dogadać. Dłubie coś przy oknie, próbuje otworzyć. Do izby wpada zapach gór i wiosny.

Babkę jakby oczarował ten dzień. Kręci się, biega, wszędzie ją słychać, choć wcale nie jest zła. Po prostu króluje.

— Hanuś, kraj ziemniaki do sadzenia. Dziadek, ruszaj do kuźni. Zawczasu trzeba naostrzyć brony i pług. Uwijajcie się! Wiosna!

Hanka jakby nie słyszała. Babka o tym, a ona o czym innym.

— Babko, już baźki złocą się na olszynach. Widzieliście? Babko, szpaki na gruszy za stodołą się ścielą...

Babka choiną odpędza ją do roboty. Sama też wzięła się do krajania. Do koszów spadają połówki, ćwiatki—byle z oczkiem. Bo właśnie w tym oczku kryje się cała tajemnica życia. Z kuźni zalatuje metaliczny dźwięk żelaza. Cała wieś tętni przedziwnym rytmem wiosny.

*) Fragment noweli „Kukułka i szpaki", jest wyjęty z tomiku II Biblioteki Popularnej Tygodnika „Wieś" p.t. „Zachodni wiatr".

Bronisław Kamiński

Z poematu „Paweł Wójcik"

VII

Co niedziela cała wieś była w kościele —
bogatsi w butach a biedni boso,
pan dziedzic z gajowym na czele
i Pan Bóg w niebiosach.

Zawodzili łacińskie pobożne pieśni,
potem proboszcz mówił apostolskie kazanie.
Pan Bóg się w dziedzica ucieleśnił
i nosił żandarmskie ubranie.

Potem siedział wójt i bogatsi gospodarze,
kobiety ubrane w kiecki pstrokate,
na końcu trochę nędzarskich marzeń
i Paweł odziany w łatę.

Paweł patrzył na krzyż czarny nad głową
i na płonącą na ołtarzu świecę,
i wierzył księżym uczonym słowom,
że modlitwa i praca popłaca na świecie.

Mały kościół zakwitał dzwonem na wieży
i rozbrzmiewał chłopskim śpiewaniem,
a Chrystus męki nie przeżył
i umarł przed świtaniem.

Władysław Milczarek

Syn Cieśli

Wiejski poemat o Bogu (fragment)

Stary cieśla wioskowy
ot zwyczajny samouk
wyciął bóstwo pokraczne
w białym klocu lipowym.

A że Boga nie widział,
z książek też się nie uczył,
więc tę świętość wystrugał
z swoim chłopskim obliczem.

Rozkrzyżował mu ręce
spracowane, żylaste;
nie gniewajta się Boże,
boście ze wsi nie z miasta

A gdy świątka przybijał
na dębowym, na krzyżu,
spomniał sobie w dzieciństwie
zasłyszane pacierze.

Dziwowali się wszyscy,
rzecz zwyczajna, jak ludzie;
patrzta kumie, mówili,
jaki Panbóg ten cudak.

Jaki to jest mizerny,
zamęczony chudzielec —
jakbyś przybił na krzyżu
tego głupka Macieja.

Oglądali wokoło
i śmiali się rozgłośnie;
ale cudak ten Panbóg,
ale cudak ten cieśla.

A ten świątek drewniany
z prostym, chłopskim obliczem.
patrzył z krzyża łagodnie
w roześmiane ich oczy.

Jeno cieśla się smucił
i miął w wargach pacierze:
przebacz, przebacz im Boże,
bo nie wiedzą co czynią.

Piotr Chmura

Majowa litania

Głos pierwszy: Będzie nieurodzaj latoś. U nas w lubelskim ozimina wymarzła w niektórych powiatach w 60%. Od wiosny posucha do reszty wyniszczy zboże.

Głos drugi: Ziarno poszło w górę. W tamtym roku 800 zł. — metr, teraz 300 zł. a u nas w Warszawskim dochodziło w maju nawet 6.500 zł.

Głos trzeci: Bój się Boga! To u nas w poznańskim nie przekroczyła cena na żadnym jarmarku 2.600 zł.

Głos czwarty: Ale nie zaprzeczycie, że od was na inne województwa rozwożą spekulanci. A do Niemiec nie poszło od was za 5 milionów zł. masło? Kto sprzedawał szmuglerom i podbijaczom cen, nie wiedział dokąd to idzie?

Głos pierwszy: Od nas z lubelskiego, mało, że nieurodzaj a sporo zboża popłynęło za Bug po 11, nawet 15.000 zł. Bandy ukraińskie mają lepszy od nas węch. Zaopatrują się za pieniądze z sobaczych źródeł nadsyłane. Jaka u nas jest chłopska dyscyplina gospodarcza? Wypychamy z kraju zboże. To co będzie? Rząd zakupi zagranicą zboże, a za co? — Za towary przemysłowe. Zamiast na wieś pójdzie precz z kraju. Za pozostałe, w zmniejszonej ilości, będziemy płacić drożej. I kto kupi — ten co na kontrabandę się puścił. Ze wsi bogaty chłop drogo sprzeda zboże, drogo kupi towary. A biedny?

Głos drugi: A wiecie, u nas wojewoda chłop, tak zrobił. Podatek gruntowy dośrubował. A wykup zboża i kartofli przekazał tylko spółdzielniom i uspołecznionym punktom zbiorczym. Są rezultaty, przez pół maja cena za metr spadła do 3 tys. zł.

Głos piąty: To macie rację. Bo jak dotąd „społem" panuje nad rynkiem zbożowym tylko 20%, 70% jest w rękach prywatnych kupców. A ci wyprawiają cuda. Sieją panikę. Mobilizują ludzi do robienia zapasów. Jedni gromadzą w nadmiarze, drugim brakuje i biją ich nadto rosnące ceny. Ho, ho, spekulanci są pierwszymi od zapasów. Prawda jest, że ceny towarów przemysłowych i państwowych bardzo się podniosły z wiosną. Spekulantom w to graj. Chcą stworzyć wrażenie inflacji. Na podniesionych cenach przemysłowych podnoszą cenę zboża. Przepłacają licząc na nieurodzaj. Toczy się walka o to w czyich rękach będzie zboże. Jeśli w ich, to państwo i wszyscy lepiej sytuowani wykupywać będą po cenach paskarskich wolnego rynku. Państwo będzie chciało zaopatrzyć załogi fabryk i biedotę wiejską. Wielkie zdziercze sumy przewyższą jednak możliwości funduszu państwa. O to właśnie idzie tym siłom, które zagrały teraz na dywersji gospodarczej i podsycają ambicje rynku klasy spekulantów, dając jej jakoby patriotyczne zadanie do spełnienia. Uderza się zatem albo w budżet państwa, żeby się załamał, albo w robotników i biednych chłopów, żeby zagrożeni widmem głodu odruchowo powstali przeciw nowemu porządkowi.

Głos szósty. Ale trzeba też chłopów zrozumieć. Skoro ceny za towary przemysłowe podniosły się, to ludzie na wsi „odczekują" ze zbożem. Wiele też potrza będzie wziąć za ziarno, aby skalkulować równo z artykułami przemysłowymi?

Głos siódmy: A ja wam powiem jeszcze jedną przyczynę. Nie ma na cały rok wyraźnie rozłożonego planu wymiany co kiedy i ile przyjdzie od przemysłu. To chłopi tak: wziąć tego, co najpierw dają, większą ilość albo może wcale nie wziąć i poczekać na te rzeczy, które im się widzą szczególnie pilne. I w ten sposób zapas zboża jest dawkowany w wymianie i w rezultacie odkładany do zbytu.

Głos ósmy: Ja jeszcze jedną widzę przyczynę: Zapomnieliście, że w nowej Polsce chłop uwolniony został od przedwojennego zadłużenia bankowo-hipotecznego. A to był coroczny bicz na sprzedaż zboża na pniu. Tylko bogats mieli jeszcze zapasy do jesieni. Teraz tego musu naglącego nie ma. Stąd zator w wymianie, w wysprzedaży. Podatek gruntowy przyśrubowany wypchnie zboże na rynek. Tylko, żeby bogaty chłop się nie wykupił łapówką, bo na biednym się skrupi. Komisje powinny być z najuboższych.

Głos piąty: Otóż to. My nie rozumiemy, co to znaczy „życie gospodarcze". Ono nie może mieć przerw i nagromadzeń. Towar i pieniądz winny chodzić od producenta do konsumenta. Podatki są w większości nasze, idą na samorząd i najczęściej wyżej nie wychodzą, jak do województwa. To nasz terytorialny kapitał inwestycyjny. Wypchnięcie zboża w dużych równoczesnych dawkach daje nam kapitał w obrót gospodarki samorządowej, czyni jej budżet realny a plany w kolejności rzeczy wykonalne. Kiedy się ten porządek podatkowy, a na rynku konsumcyjnym — zbożowy, zahamuje, wszystko djabli biorą: gospodarka nasza i kraju całego ponosi straty na rzecz tych łowców w mętnej wodzie, którzy tylko na te zatory czekają i sami je robioną paniką stwarzają i potęgują. Dam wam przykład na naszych artykułach rolniczych. Tytoń. Czy wiecie, że koszt produkcji u chłopa, jego opłacenie, zwózka i przerób równa się w sumie 6 miliardów złotych? A ile myślicie wynosi suma zł. za rozsprzedany tytoń? — 12 miliardów. Dwa razy więcej. Kto to zagarnął? Ani państwo, ani chłopi. Oni... Cukier. Chłopi producenci wyciągnęli 6 miliardów, 2 miliardy (1/3) pośrednicy. Krótko mówiąc, ażeby od przykładów nie odejść, pół Warszawy trudzi się handlem. Z tym żerowaniem trzeba skończyć. Za mało bowiem jest produkujących, za dużo żyjących z przeniesienia towaru od pracującego w pocie czoła chłopa do umęczonego robotnika.

Głos trzeci: Ja was słucham i myślę sobie: no dobrze, a jak nie jechać w górę z cenami na nasze zboże, kiedy towary przemysłowe drogie?

Głos pierwszy: To ja wam powiem. Ja mam w pamięci nasz nieurodzaj lubelski. I długo nad tym myślałem. Brak zboża to nie tylko nieszczęście dla miasta, dla chłopów również. Popatrzcie, jak jest z hodowlą. Pięknie się rozwinęła, w niektórych województwach większa dziś nawet, jak przed wojną. Ale co się nie dzieje, metr żywca nierogacizny kosztuje obecnie dwa razy mniej, niż metr żyta. Co to znaczy? Sztuczni podbito zboże, przecie to zboże siedzi w ś..iniach, ale świnia okazuje się nic warta, a ziarno znaczy. Tym sposobem, rzeczywiście uderzy się w hodowlę, zniszczy się ją. Gdzie tu jest sens, gdzie planowa gospodarka? Co za skoki? Chleb droższy od mięsa? Komu na tym zależy? I kiedy o tym wszystkim myślę, dochodzę do jednego: Musimy się rozprawić ze spekulacją w pośrednictwie. Towary przemysłowe podniesioną mają cenę ale się zatrzymają na stałe. Gdzie szukać wyrównania dla naszych artykułów? W obniżce cen przemysłowych? Nie! One reprezentują sektor zorganizowany — wyznaczają zatem w połączeniu z polityką finansową, również planową — **normomiernik towarowy.** Ja wiem, że skoro towarów nie ma dość do nasyceniu pełnego zapotrzebowania kraju, miernik ten jest wysoki. Zniżyć go albo raczej dorównać mu to sprawa naszego wysiłku produkcyjnego w latach najbliższych i dalszych. Ale jest jeszcze jedno — ważne dla nas chłopów. My musimy dorobić niskość naszych cen do marży spekulanckiej. Będzie to podwójny zysk. Dla nas wszystkich: wyrównanie, **normalizacja życia gospodarczego.** Aby nie było takich dziwactw: że ziarno — to złoto, a wieprzowina to g....

Głos piąty: Ano odpowiedzieliście za mnie. Dodam tylko tyle, bo trza to wiedzieć. Produkcja naszego przemysłu w ub. roku przyniosła na 10% zysku na sumę 350 mil. złotych, a naszemu handlowi prywatnemu na sumę miliarda zł. W Łodzi finansiści prywatni gotowi są założyć hurtownię żelaza, dają zaliczki 5 mil. zł., za hurtownię tekstylną milion zł. Co wy na to? Jak nie zarobią 100, 200, a nieraz i 1000% to kapitałów nie ujawnią. Oto nowy obraz ujmowania życia gospodarczego. Albo nie inwestowanie go, albo zdzieranie — nas, chłopów i robotników. Bunt to my potrafimy zrobić. Rewolucję raz jużeśmy zrobili i poprawić ją możemy, ale na kontrrewolucję złapać się nie damy!

Czy nie taka?

Z racji wydania 100-go numeru, odbyła się w lokalu redakcyjnym „Wsi" skromna uroczystość na którą przybyło kilkudziesięciu współpracowników terenowych z różnych stron Polski, aby pogwarzyć z sobą, już nie za pośrednictwem pisma, ale bezpośrednio.

Wznowiono szereg dyskusji, prowadzonych w ciągu poprzedniego i bieżącego roku, m. innymi także i dyskusję na temat: „Jakiej powieści chce dzisiejsza wieś"? Wzięli w niej udział prawie wszyscy ci, których wypowiedzi zamieszczała „Wieś" w ciągu ostatnich miesięcy.

A oto przebieg dyskusji:

MARIAN CIEŚLAK z Poznania:

„Znikają barwne stroje ludowe na korzyść modnej szarzyzny ubiorów miejskich, jedwabnych pończoch, kapeluszy i modnych sukien; coraz rzadziej tańczy się na wsi mazurki, kujawiaki i krakowiaki, zjawia się natomiast tango, fox-trott i Bóg wie co jeszcze, coraz rzadziej słyszy się gwarę ludową, którą zastępuje ochydny żargon z ulicy, znikają dawne piękne zwyczaje, zwycięża na całej linii prąd płynący z miasta, „cywilizacja" w najbrudniejszym tego słowa znaczeniu. Należy temu zapobiec. Należy chłopu... ukazać piękno tradycji i staropolskich obyczajów, ukazać piękno pracy na roli i wzbudzić w nim poczucie godności własnej i dumy z tego właśnie zajęcia, które przecież starożytni nazwali jedynym zajęciem godnym człowieka wolnego. Należy wreszcie otworzyć oczy na piękno wsi polskiej. na przemożny a nie przemijający czar polskiej przyrody, która chłopa zewsząd otacza...

Skłonny byłbym raczej opowiedzieć się za powieścią zmyśloną. Jej fikcja tkwiłaby w samej koncepji bohatera, w jego szlachetności, i sile dalej tkwiłaby w optymistycznym poglądzie na świat i życie, tkwiłaby w interesującej i bogatej w wydarzenia treści, wreszcie w samym zasadniczym charakterze dzieła. Nie należy zapominać, że główną funkcją powieści jest przyniesienie czytelnikowi rozrywki. A rozrywka polega na oderwaniu się od codziennej, szarej rzeczywistości. Winna więc książka przenosić w inny świat, lepszy od tego codziennego, piękniejszy i bardziej wartościowy.

A pozatym winna krzepić, dawać wiarę we własne siły i ufność w zwycięstwo dobra."

STEFANIA GŁUSZCZAK z tarnowskiego:

To bardzo piękne co mówicie! „Powieść ta powinna opisywać przede wszystkim życie wsi tylko nie bardzo rozwlekle, bo by znudziła czytelników. Nie trzeba pominąć opisów przyrody, życia, nastrojów na wiosnę i w lecie, szczególnie takiego okresu, jak maj ze swoimi pięknymi wieczorami... Lecz nie ogólnie lecz szczególnie wszystko to przeplatając nićmi miłości, kochania się młodych serc. Akcja powinna być dosyć ciekawa, zagmatwana, ale grunt żeby skończyła się ładnie, osiągnięciem szczęścia przez bohaterów. Powieść ta powinna zawierać coś pouczającego, aby czytelnicy mogli odnieść z niej jakąś naukę szczególnie co do żenienia się..

... Bohaterką tej powieści zamiast hrabiny, niech będzie skromna, biedna dziewczyna wiejska, albo jakiś Jaś (spojrzenie w stronę Red. Nacz. „Wsi"), czy Waluś, albo inny chłopak wiejski. Akcja niech będzie trochę przez autora zmyślona, byle tylko nie przesadnie. Dwoje wiejskich ludzi kocha się wzajemnie. A więc zapoznanie, schadzki miłosne, przeszkody do zawarcia małżeństwa, sprzeciw rodziców, ktoś umyślnie szkodzi..., jakaś rywalizacja, zazdrość..., dziewczyna udaje pannę z miasta....

JÓZEF SABURA z Gdyni (najwyraźniej wzburzony).

Dosyć tego gruchania! W powieści jaką sobie wyobrażam powinny być „miejscowe podania, legendy, zwyczaje... Wesele, chrzciny, pogrzeb, strój, tańce, gwara, śpiew, muzyka, takie momenty jak: orka, sianokosy, żniwa, kopanie ziemniaków, musi być wieś kwitnąca znojem, dojrzała latem i syta jesienią, wieś śpiąca zimą, budzona skrzypem studni, żyjąca w dzień pracą codzienną, spędzająca wieczór w izbie na opowieści, przędzeniu lnu, wełny, skubaniu pierza. Wieś strojąca się w odpust do kościoła, idąca w kompanii na Kalwarię, do Częstochowy. Wieś mówiąca dźwiękiem dzwonów rezurekcyjnych i kołatkami wielkiego postu..."

FRANCISZEK PIĘTAK z Wielowsi k. Sandomierza:

„Jeśli idzie o książkę, to mam na myśli powieść przedstawiającą życie na wzór życia bohaterów: Franków Rakoczych, doktorów Judymów, czy Ślimaków — powieść która by wychowywała społecznie i twardo pokolenie, które ma przyjść i żyć na tej nowej wsi...

Pragnąłbym bardzo, by któryś z chłopskich pisarzy stworzył wielką, bohaterską epopeję chłopską, na wzór Sienkiewiczowskiej Trylogii... Chciałbym bardzo, by w tego rodzaju powieści bohaterem był partyzant, syn chłopa, w którym by się wszystkie zalety zeszły: patriotyzm, walka o swoje prawa, żądania chłopskie, wreszcie bezwzględna walka z okupantem i miłość do swej wybranej na wzór Kmicica z „Potopu".

GĘBALA STANISŁAW z Zabrza nad Sanem:

„Nie żałujcie drwiny z niedołęstwa, oburzenia na krzywdę i nie żałujcie hymnów dla odwagi i poświęcenia i ideowej wiary, ale nie twórzcie broszurowych mitów o tym, co działo się wczoraj, bo ta wczorajsza rzeczywistość znana jest chłopu dobrze, bo on ją sam w dużej mierze tworzył i swego chłopskiego czynu nie pozwoli nazwać cudem. Uwydatnijcie jak najwyraźniej etapy chłopskiego postępu ku pełnemu człowieczeństwu, wytyczcie pole drogi na przyszłość, a dzieła wasze iść będą z rąk do rąk, aż do zupełnego zdarcia i do nowych wydarzeń".

WŁADYSŁAW. GAŁĄZKA z Bartoszewic (w stronę Mariana Cieślaka).

„Co do powieści zmyślonych, tośmy powinni raz na zawsze z nimi skończyć. Wiemy przecież, że to co jest zmyślone, nie zawsze jest wykonalne i dające się zrealizować. A więc skoro nie dające się zrealizować, pocóż komu niepotrzebnie zaprzątać głowę, kradnąc mu w ten sposób czas".

LEOKADIA MARCINIAK z Gałkówka:

Chciałabym tu podać „zagadnienia z projektowanej powieści i opisy: 1) Charakterystyka wsi rozbudzonej, tworzącej, uspołecznionej, z kontrastowym uwypukleniem jednostek aspołecznych i zacofanych.... Spółdzielnie na wsi, organizacja gospodarcza, ośrodek zdrowia i tp. Szkoła... prace samorządu gminnego i gromadzkiego, ich możliwości w ulepszaniu życia gromady, rola wójta... 2) Wysiłki młodzieży wiejskiej w osiąganiu wyższego wykształcenia. Ciężkie warunki codziennej komunikacji. Złe warunki materialne. 3) Wartość kultury ludowej i ścieranie się ich z wartościami kultury miast (cywilizacja), nieuchronnie ginący regionalizm... 4) Rola świetlicy na wsi. Jej promieniowanie kulturalne i cementowanie gromady. Metody pracy i samokształcenie, teatr ludowy, śpiew i muzyka. Możliwość współpracy nowoczesnej świetlicy z kościołem".

STANISŁAW SARAMA z Łodzi:

„Bezwględnie zareaguje chłop na powieść o nim samym. Najbardziej zaciekawi go historia rozwoju materialnego, kulturalnego czy politycznego wsi. Dajmy mu do ręki cykl powieści obrazujących rzeczywiste życie wsi w rozwoju dziejowym z uwzględnieniem wszystkich zmian i przeobrażeń, jakie przechodziła wieś od czasów najdawniejszych, do dni dzisiejszych. Dajmy poznać chłopu jaką siłę i potęgę posiada element wiejski w naszych warunkach... Wskażmy chłopu zdobycze cywilizacji i nauki, nauczmy go korzystać z nich udowodnijmy mu, że koszta np. przeprowadzenia linii elektrycznej do jego wsi, stokroć mu się z biegiem czasu opłacą. Pokażmy mu na przykładzie życie wsi nowoczesnej, korzystającej ze wszelkich zdobyczy techniki... Niech nasza wieś wyjdzie wreszcie ze swego przysłowiowego błota, spod historycznych słomianych strzech. Niech powieść będzie dla niej podręcznikiem udoskonalonej uprawy roli, hodowli bydła i drobiu, warzywnictwa, niech mu wskaże dobrodziejstwa, i korzyści wypływające z założenia w jego wsi — spółdzielni".

Dyskusja potoczyłaby się zapewne dalej, gdyby nie poprosił zebranych Red. Naczelny, na kieliszek zieleniaka. Przewodniczący spytał więc tylko, który z dyskutantów uznaje się za przekonanego i rezygnuje z zajętego w sprawie powieści dla chłopów — stanowiska. Podniosły się ręce Stefanii Głuszek, Józefa Sabury i Mariana Cieślaka.

zebrał **Wiesław Jaździński**

KONKURS

na ankietę:

„Moja droga do Szkoły Rolniczej i ze szkoły na wieś"

Redakcja „Wieś" przedłużyła do dnia 15 czerwca b. r.

Obok wypowiedzi uczniów Szkół Rolniczych prosimy starych działaczy i gospodarzy o wspomnienia o dawnych Szkołach Rolniczych.

SPROSTAWANIE:.

W ostatnim numerze wkradł się błąd do naszego komunikatu o zmianie adresu redakcji i administracji. Adres ten brzmi: **ŁÓDŹ I — skr. poczt. nr. 97.**

Komunikat

Zawiadamiamy, że z dniem 1 czerwca 1947 r. redakcja i administracja tyg. „Wieś" przeprowadziła się do nowego obszernego lokalu przy ul. Piotrkowskiej 133.

Korespondencję prosimy kierować na adres:

ŁÓDŹ, PIOTRKOWSKA 133

albo

Łódź I — skr. poczt. 97

Redaktor naczelny: **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet
Adres redakcji i administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik" — Łódź, ul. Żwirki 2. D—017705